WTOREK

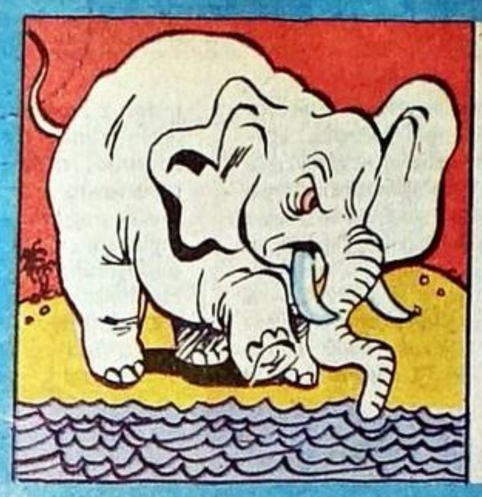

Dziś na str. 3 „DWA ŁYKI AFRYKI"

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

Nr 48 22 KWIETNIA 1975 R. CENA 1,50 ZŁ

30 lat przyjaźni i współpracy

„ŻUKI" i „NYSY" dla ZSRR dla Polski — „WOŁGI" i „ZAPOROŻCE"

WARSZAWA (PAP). W roku bieżącym przemysł samochodowy ZSRR dostarczy Polsce 4400 samochodów ciężarowych różnych typów, ponad 1500 samochodów terenowych przeznaczonych głównie dla wsi i około 6000 samochodów osobowych typu „Wołga" i „Zaporożec".

„Polmot" natomiast dostarczy radzieckim klientom około 6800 furgonetek i mikroautobusów, 50 ruchomych warsztatów samochodowych i wyposażenie dla 3 stacji obsługi technicznej.

W ramach kooperacji polskie fabryki od kilku już lat produkują części i zespoły dla małolitrażowych samochodów osobowych „Żiguli". Tylko w tym roku dostarczymy ponad 1,5 miliona kompletów różnych części do tych typów samochodów. **(wm)**

AZYMUT WĘGIEL

UWAGA, SZCZEPY I DRUŻYNY!

JESZCZE TYLKO DWA DNI...

Pojutrze, 24 kwietnia mija termin nadsyłania zgłoszeń do uczestnictwa w konkursie „AZYMUT — WĘGIEL". Konkurs ten ogłosiliśmy w nr. 46 z dnia 17 kwietnia. Macie jeszcze dwa dni czasu! Na zwycięzców czekają cenne nagrody ufundowanę przez Ministerstwo Górnictwa i Energetyki.

KATOWICE (HSI). W szczepie im. „Przyjaźni Narodów" przy Szkole Podstawowej nr 24 w Katowicach odbyła się niedawno uroczysta zbiórka wszystkich drużyn — podsumowanie Turnieju Wiedzy Obywatelskiej „Przygoda z Techniką".

Zastęp „Korsarzy" przedstawił przy tej okazji ciekawy projekt „kalendarza dla zapominalskich". Jurek Szafranowicz — jeden z autorów projektu — wyszukał w jakichś starych książkach krawieckich, które mama dawno wyniosła już do piwnicy — podstawowe zasady kroju i szycia. Potem z kolegą naszyli na kawałek grubego materiału wielkości dużego bloku rysunkowego sześć kieszonek. Każda oznacza jeden dzień tygodnia. Do wszystkich kieszeni wkładają teraz zadania dla każdego członka zastępu. Gdy ktoś zapomni, co ma zrobić, zagląda do kalendarza i już wszystko wie.

Na zbiórce pokazano projekty innych zastępów: m. in. worek do gaszenia pożaru na choince, nowoczesny przybornik do szycia i wiele innych.

W Turnieju brało udział 90% uczniów całej szkoły, czyli wszyscy harcerze. (td)

KALENDARZ ZAPOMINALSKICH

GIEŁDA POMYSŁÓW

INNA METODA SPRAWDZANIA OBECNOŚCI

Jest nas w zastępie sześć i nazywamy się „Morskie Diabły". Podzieliłyśmy sylaby nazwy między siebie i zawsze na początku zbiórki, na hasło: „Obecność" Bożena woła — mor, Teresa — skie, Aśka — dia, ja — bły, Gośka — to, Baśka — my. W ten sposób „wywołujemy" swoją nazwę, a jeśli gdzieś się ona zatnie, wiadomo, że kogoś nie ma.

Dorota Sierzańska
zastępowa „Morskich Diabłów"
z Iłowej

NOWA HUTA — dzielnicą zieleni

KRAKÓW (PAP). Nowa Huta — największa, 180-tysięczna dzielnica Krakowa — kojarzy się przede wszystkim z hutnictwem. Tymczasem od kilku lat staje się ona dzielnicą zieleni.

Obecnie istnieje tam 165 hektarów terenów zielonych, w tym 56 ha — to naturalne zagajniki i laski. Charakter rekreacyjno-wypoczynkowy ma również Park Kultury i Wypoczynku im. 30-lecia PRL, którego obszar wynosi 77 ha. Park łączy „stary" Kraków z jego nowoczesną dzielnicą.

W bieżącym roku na terenie Nowej Huty powstaną dalsze tereny zielone o łącznej powierzchni ponad 10 ha, które utworzą ciągi spacerowe oraz otoczą **place zabaw dla dzieci.** Do 1980 roku w tej dzielnicy tereny zielone zwiększą się o dalszych ok. 55 hektarów. W następnych latach powstaną aleje i ciągi rekreacyjno-spacerowe — o powierzchni ok. 60 ha, m. in. wzdłuż Wisły i Dłubni. Spora część tych prac oraz konserwacja zieleni wykonywane są w czynie społecznym przez mieszkańców dzielnicy.

(bis)

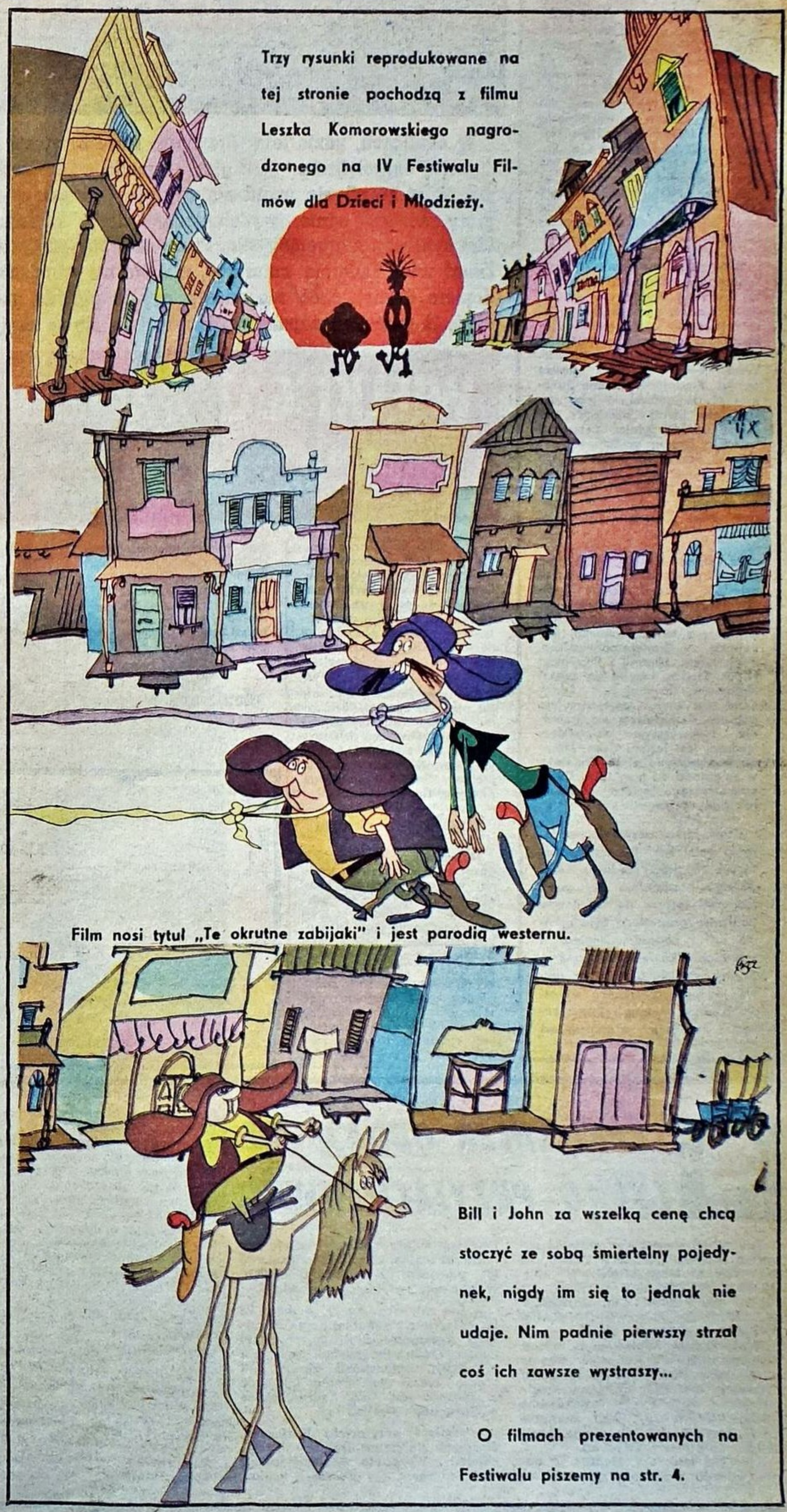

Trzy rysunki reprodukowane na tej stronie pochodzą z filmu Leszka Komorowskiego nagrodzonego na IV Festiwalu Filmów dla Dzieci i Młodzieży.

Film nosi tytuł „Te okrutne zabijaki" i jest parodią westernu.

Bill i John za wszelką cenę chcą stoczyć ze sobą śmiertelny pojedynek, nigdy im się to jednak nie udaje. Nim padnie pierwszy strzał coś ich zawsze wystraszy...

O filmach prezentowanych na Festiwalu piszemy na str. 4.

Dziś przedstawiamy:

CZAD

Kilka miesięcy temu w prasie polskiej można było znaleźć następującą informację: „Pracownicy FAO, wyspecjalizowanej organizacji ONZ, wykryli, że żywność przeznaczona na pomoc dla Republiki Czadu, utknęła na granicy tego państwa i Nigerii. Okazało się, że żona prezydenta Czadu posiada jedyne w tym kraju przedsiębiorstwo przewozowe i że zastrzegła sobie przewóz żywności w głąb kraju własnymi ciężarówkami, po cenie frachtu dwukrotnie wyższej od obowiązującej". A w głębi kraju tysiące ludzi umierało z głodu. Trwająca od 1965 r. wielka susza doprowadziła do wyschnięcia studni i naturalnych zbiorników wody. Tysiące ludzi zmarło, zanim ktokolwiek zdołał się o tym dowiedzieć. Łącznie od suszy ucierpiało prawie dwa miliony ludzi. Padło półtora miliona sztuk bydła. Wśród ludzi zaczęły się szerzyć epidemie chorób.

Tymczasem prezydent N'Garta Tonbalbaye, który od piętnastu lat kierował krajem, jeździł klimatyzowanym samochodem i żył w luksusach, ostro tłumiąc jakiekolwiek przejawy niezadowolenia zagłodzonego narodu. Wielki Rodak, bo taką nazwę przyjął Prezydent, chętnie przemawiał do narodu, a jego wystąpienia trwały niekiedy pół dnia. Jednocześnie prowadził walkę z „czczą gadaniną" i wzywał naród do czynu. I kto wie, czy właśnie nie wywołał wilka z lasu. Kilka dni temu grupa wojskowych dokonała zamachu stanu. Prezydent został zabity.

Republika Czad, kilkakrotnie większa od Polski a zamieszkana zaledwie przez 3 miliony ludzi jest państwem najbardziej oddalonym od brzegów morskich. Graniczy z Libią, Sudanem, Republiką Środkowoafrykańską, Kamerunem, Nigerią i Republiką Niger. Stolica nazywa się dzisiaj Ndjamena, dawniej Fort Lamy. Czad jest krajem pustynnym na północy i stepowym na południu. Największym zbiornikiem wodnym jest jezioro Czad, którego powierzchnia ulega zmianom w zależności od pory roku. Część wybrzeży tego jeziora osuszono już pod uprawę.

Czad jest zacofanym państwem rolniczym. Rolnictwo dostarcza 95 proc. produktu narodowego i zatrudnia 88 proc. ludności. Jeszcze do niedawna podstawą gospodarki była uprawa roli i hodowla. Dopiero w ostatnich kilku latach zaczęto uprawę bawełny. Dochód na głowę jednego mieszkańca wynosi 55 dolarów rocznie i jest jednym z najniższych w świecie. (z)

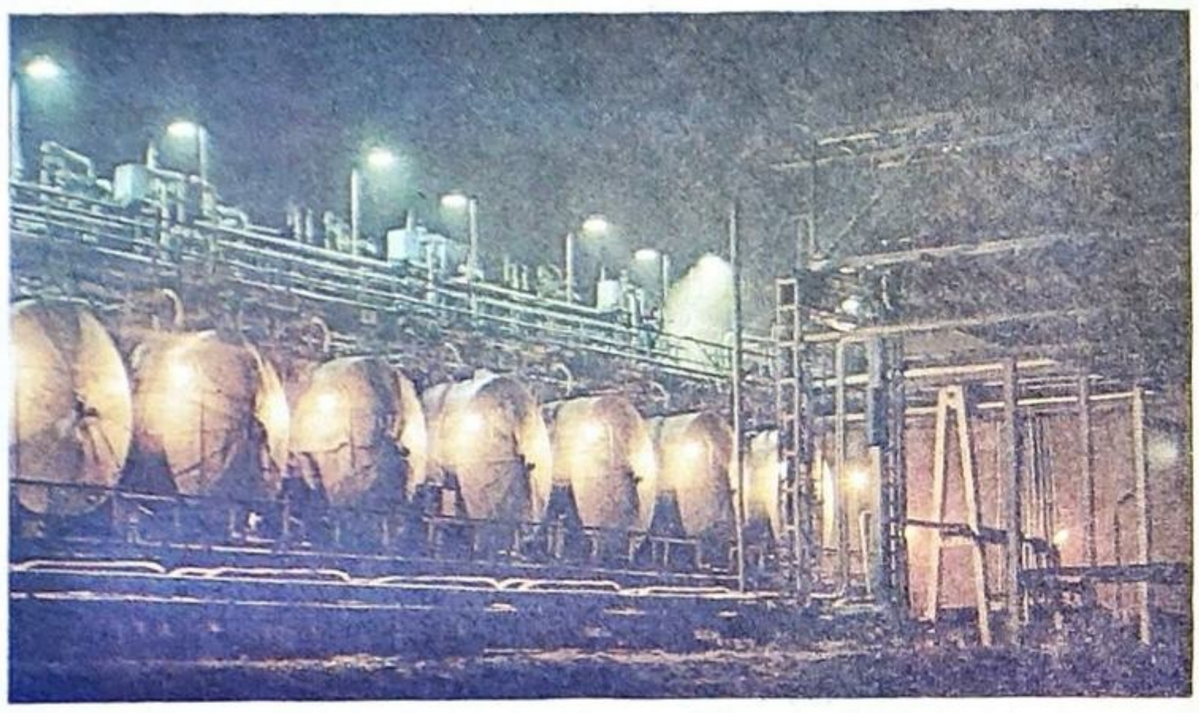

W okolicach, gdzie leży Orenburg, stare rosyjskie miasto w południowej części Uralu – jak głosi legenda – mieszkał kiedyś pustelnik, który bronił się przed napastnikami, zapalając wokół swojej groty wielkie ognie, wydobywające się ze szczelin ziemi z wielkim sykiem i z ogromną siłą. Pustelnika bali się ludzie i zwierzęta. Zmarł więc śmiercią naturalną, nikomu nie zdradzając tajemnicy. I dopiero dzisiaj, choć nie wiemy czy to prawda, można przypuszczać, iż pustelnik zapalał wydobywający się ze skał gaz ziemny!

WIELKI GAZ Z ORENBURGA

- NAJWIĘKSZA BUDOWLA KRAJÓW RWPG
- POLACY NA PIERWSZYM ODCINKU

WIELE SETEK LAT po śmierci legendarnego pustelnika właśnie w Orenburgu kraje RWPG rozpoczynają jedną ze swych największych wspólnych inwestycji – potężny gazociąg o długości 2750 km, który będzie dostarczał 15,5 mld metrów sześć. gazu ziemnego rocznie.

Na teren budowy wjechały już pierwsze maszyny. Szlakami, którymi chadzały kiedyś tylko zwierzęta, suną dziś spychacze, dźwigi, koparki i wielkie wywrotki. Rozpoczął się pierwszy akt wspaniałego przedsięwzięcia!

Wspólnymi siłami

Największy na terenie ZSRR gazociąg jest inwestycją trudną. Wymaga przetransportowania ponad 11 mln ton materiałów budowlanych i maszyn, pokonania wielu przeszkód naturalnych, przeprawienia się przez rzeki: Ural, Wołgę, Dniepr i Don. Ponad 500 km rurociągu przechodzi przez skaliste góry. Dlatego poszczególne kraje podzieliły pracę między siebie. Specjaliści radzieccy zagospodarowują złoże, a inne kraje budują kolejne odcinki, a więc kładą przewody ze stalowych rur o przekroju 1420 mm, instalują przepompownie i oczyszczalnie, a wreszcie urządzenia odbierające gaz orenburski i wprowadzające go do sieci krajowych.

Polacy – pionierami budowy

Budowa pierwszego odcinka przypadła w udziale Polakom. Rozciąga się ona na dystansie 560 km – od Orenburga (RFSRR) przez Uralsk, do miejscowości Aleksandrów Gaj (Kazachska SRR). Suchy, surowy klimat i duże wahania temperatury (od –43 do +43 st. C.), górskie skaliste tereny, wielka odległość od kraju – dostatecznie świadczą o trudności przedsięwzięcia. Dlatego też oprócz rurociągu trzeba budować przesuwające się wzdłuż trasy budowy osiedla, hotele, sklepy, stołówki, kluby, ośrodki zdrowia. Wszystkie maszyny – od spawarek aż po dźwigi zostaną sprowadzone z kraju. Do końca br. będzie tu pracowało 2000 polskich specjalistów, a w r. 1976 – w okresie największego nasilenia prac – około 4000. Prace potrwają do III kwartału 1978 roku.

Dobry interes

Trud ten bardzo nam się opłaci. Otrzymamy rocznie 2,8 mld m sześć. gazu ziemnego. Jest to bardzo cenne paliwo, surowiec energetyczny i chemiczny. Dla współczesnej gospodarki nie wystarczają już takie paliwa, jak węgiel kamienny i brunatny, których mamy pod dostatkiem. Niezbędne są również surowce węglowodorowe, jak ropa i gaz ziemny, a tych nam brak. Konsumenci domagają się gazu ziemnego, gdyż przekonali się, że jest on o wiele wydajniejszy od gazu miejskiego uzyskiwanego z węgla.

Wielki jest nacisk przemysłu chemicznego, który z gazu ziemnego produkuje nawozy azotowe, syntetyczny kauczuk, masy plastyczne, włókna sztuczne, amoniak i inne chemikalia.

Również rzecznicy ochrony środowiska są wielkimi zwolennikami tego gazu. Twierdzą oni, że „przestawienie" Warszawy i innych miast na gaz ziemny pozwoli zlikwidować stare gazownie, silnie zatruwające otoczenie.

To takie piękne!

Do Zarządu Głównego ZMS, który postanowił patronować budowie polskiego odcinka gazociągu, codziennie przychodzą listy z prośbą o werbunek:

„Bardzo chciałbym pracować na tej budowie – pisze jeden z zetemesowców – gdyż lubię trudne i odpowiedzialne zadania, a jednocześnie gorąco pragnę poznać kraj naszych przyjaciół. Wiele razy czytałem o zadaniach, które podejmują, o pracy w dziewiczych terenach, często jeszcze nie tkniętych ludzką stopą. Romantyzm takich budów bardzo mnie pociąga. Myślę, że jako dobry fachowiec będę mógł przydać się przy kładzeniu gazociągu. Najbardziej zaś fascynujące jest to, że powstanie on wysiłkiem wielu narodów. Jedynie socjalizm mógł doprowadzić do takiej symbiozy, do wcielenia w życie hasła „człowiek człowiekowi bratem". Bowiem jak bracia będziemy pracować dla wspólnego, wielkiego celu. To takie rzadkie we współczesnym świecie. I takie piękne!".

Rzeczywiście, zadanie jest piękne i wielkie. Tylko w ciągu trzech miesięcy 1975 r. do pracy w ZSRR zgłosiło się ok. 10 tys. osób. Pojadą jednak naprawdę najlepsi.

Ponad połowę załogi polskiej w początkowym etapie budowy, a około 70 proc. w etapach późniejszych, będą stanowili fachowcy zwerbowani przez ZMS. Nigdy jeszcze patronat ZMS nie obejmował tak wielkiej inwestycji. Rozszerzy się on niebawem na rurociąg płocki, przechodzący przez Białoruską, Litewską i Łotewską SRR.

Będą to na najbliższe lata sztandarowe zadania ZMS, realizowane pod hasłem „Realizujemy Wspólny Program Gospodarczy". Szczególna to okazja do sprawdzenia zdolności mobilizacyjnej Związku, wyzwolenia inicjatywy, pomysłowości i zaangażowania społeczno-produkcyjnego młodzieży.

O orenburskiej budowie jeszcze nie raz będziemy pisać. Jest to bowiem sztandarowa budowa nas wszystkich, młodzieży z socjalistycznych krajów. **(bis-piel)**

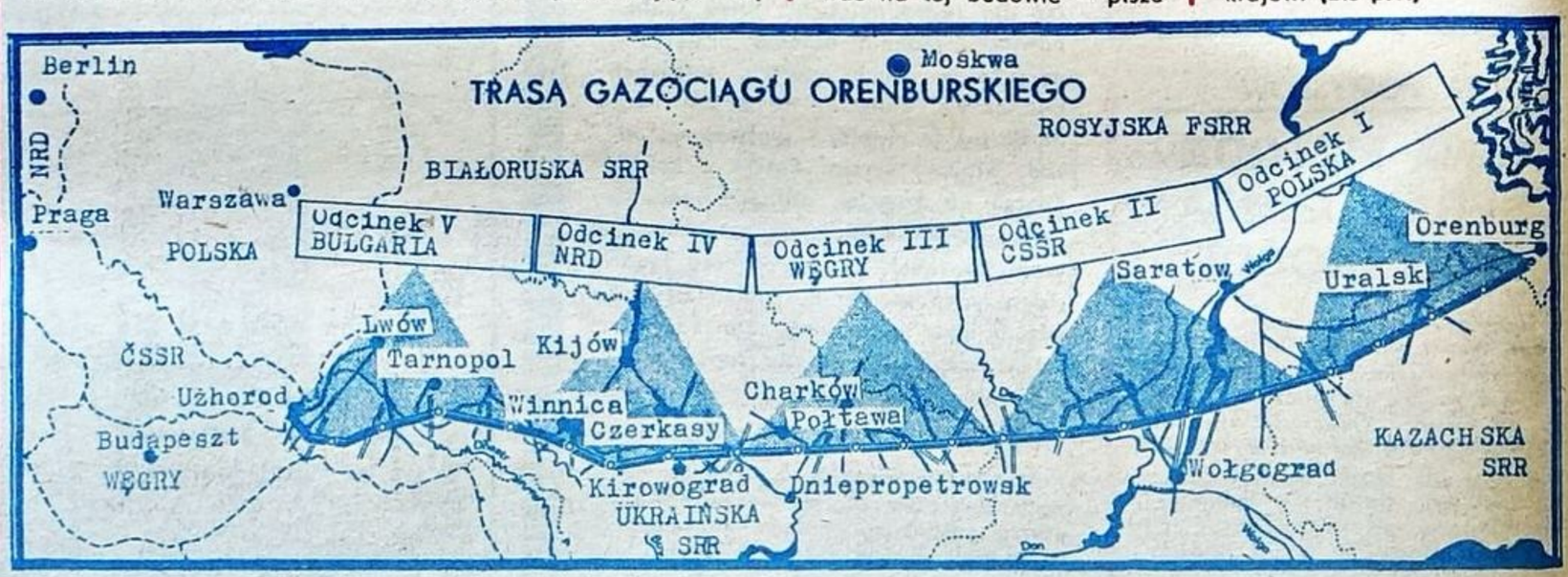

„TAKI CHLEB ODDAJE SIĘ TYLKO PRZYJACIELOWI!"

Ten felieton miał się zaczynać zupełnie inaczej: „30 LAT TEMU, 21 KWIETNIA 1945 ROKU, W MOSKWIE, PODPISANY ZOSTAŁ UKŁAD O PRZYJAŹNI, POMOCY WZAJEMNEJ I WSPÓŁPRACY MIĘDZY POLSKĄ A ZSRR".

Kiedy jednak napisałem te słowa, przypomniałem sobie wieś Mazów na Dolnym Śląsku, gdzie 5 lat temu zbierałem materiały do pracy magisterskiej, wieś i jej mieszkańcy, wśród których żyją byli żołnierze I i II Armii Wojska Polskiego, powstałego na ziemi radzieckiej.

Któregoś wieczoru, siedząc w domu jednego z gospodarzy, usłyszałem jak spiker radiowy czytał komunikat o tym, iż minęło właśnie 25 lat przyjaźni z narodami ZSRR. Wtedy mój rozmówca powiedział:

– Dla mnie to już 27, a może 28 lat. Najpierw uciekałem przed Niemcami. Zatrzymałem się w rosyjskiej wiosce. Ludzie przygarnęli mnie tam z rodziną, wykurowali, ubrali, dali przeżyć ciężki czas. Potem był obóz w Sielcach nad Oką, Lenino, walki o Warszawę i Berlin.

– Miałem przyjaciela Rosjanina. Nazywał się Sasza Bokłariew. Pochodził z Woroneża. Spotkaliśmy się pod Lublinem. On wracał z urlopu, ja z przepustki. Spieszyło nam się bardzo, a tu – jak na złość – żaden samochód nie chciał nas zabrać. Usiedliśmy więc w przydrożnym rowie. Byłem głodny, a w plecaku nie miałem nic do jedzenia. Sasza tymczasem wyjął niewielki kawałek chleba, który dostał w polskiej wsi – chleb był z domowego pieca, z dobrej mąki, przaśny – wyjął nóż i dzieląc go sprawiedliwie na pół, powiedział: „TAKI CHLEB ODDAJE SIĘ TYLKO PRZYJACIELOWI..."

W jakiś czas potem zatrzymał się radziecki gazik. Było tylko jedno miejsce wolne. Saszy spieszyło się bardziej, ale uparł się, że beze mnie nie pojedzie. Czekaliśmy więc jeszcze godzinę... A w rok później dowiedziałem się, że zginął na berlińskiej minie. Te jego słowa o chlebie zachowałem jednak w pamięci. Przypominały mi się zwłaszcza w czasie pierwszych lat odbudowy, gdy widziałem radzieckie transporty maszyn przychodzące do Wrocławia, radzieckich inżynierów pomagających je uruchamiać, transporty pszenicy z Ukrainy. Zawsze wtedy stawała mi przed oczami ta nasza wspólna kolacja na drodze, na rok przed końcem wojny, i słowa Saszy. Więc dla mnie ta przyjaźń zaczęła się o wiele wcześniej!

Dla wielu tysięcy Polaków również. Zrodzona w walce, zahartowana w wojennych trudach, w okresie pokoju zaowocowała w innym wymiarze – w sferze polityki, gospodarki i kultury. Z początku była to głównie pomoc Związku Radzieckiego dla nas, dla rozgrabionego i wyniszczonego kraju. Z czasem jednak nasza współpraca stała się partnerska. Codziennie w prasie możecie przeczytać o nowych jej przejawach. Np. 250 polskich budów przemysłowych realizowanych jest w ZSRR, 34 nowe umowy specjalizacyjne i kooperacyjne, prawie 100 proc. naszej ropy naftowej pochodzi z Kraju Rad, po drogach radzieckich jeździ ok. 70 tys. polskich samochodów, po polskich natomiast – niemal tyle samo pojazdów radzieckich, 50 premier sztuk radzieckich w ramach Dni Kultury Radzieckiej itd., itp.

Ale kiedy będziecie o tym czytali, o stale rosnących obrotach handlowych i wymianie naukowo-technicznej, o ożywionej współpracy kulturalnej i licznych nieustających inicjatywach kulturalnych, pamiętajcie, że wpierw musiało na to zapracować tysiące takich żołnierzy, jak Sasza i jego polski przyjaciel.

WOJCIECH PIELECKI

OD KILKU MIESIĘCY jestem w Afryce, w Republice Wybrzeża Kości Słoniowej, a więc niedaleko Równika.

Chodzę do szkoły afrykańskiej z wykładowym językiem francuskim. Szkoła nazywa się „Liceum moderne"; różni się bardzo od naszej — polskiej. Każda klasa znajduje się w osobnym budynku, a to ze względu na temperaturę, która nie spada poniżej +35° nawet w nocy.

W mojej klasie są aż dwie białe dziewczynki. Na razie nie mogę się z nimi dobrze porozumieć, ale myślę, że jakoś to będzie. Tak jak inne białe dzieci przeszłam chrzest bojowy. Już drugiego dnia pobytu w szkole, kiedy wyszłam przed klasę-budynek, wokół mnie zaczęła się zbierać spora grupka kolegów — Afrykanów. Nagle ktoś gwizdnął i wszyscy zaczęli mnie poszturchiwać i ciągnąć za włosy. Nie chcieli zrobić mi nic złego — to tylko taki zwyczaj. Ale nie wiem jakby się to wszystko skończyło, gdyby nie jedna z nauczycielek...

Rano chodzę do szkoły, po południu uczę się francuskiego i przerabiam na bieżąco polski program piątej klasy. Wolnego czasu zostaje mi niewiele. Ale najbardziej dokuczają mi tu... motyle. Latające, strzepują ze swoich skrzydeł pyłek, który drażniąc moją skórę pozostawia na niej mocno swędzące bąble.

Mieszkamy w Agboville, a stolicą kraju jest Abidżan. To piękne miasto, ale pełne kontrastów. W dzielnicy bogaczy znajdują się rezydencje pełne przepychu. Ogromne wille toną w zieleni, przy każdej jest piękny basen kąpielowy. Obok widać nędzne lepianki, obdarte i głodne dzieci, chude kozy. Jakież to niesprawiedliwe!

Moim listem z Wybrzeża Kości Słoniowej chciałabym zaapelować do dzieci polskich, które są w egzotycznych krajach, żeby napisały do „Świata Młodych" o swoich wrażeniach.

Przesyłam pozdrowienia dla wszystkich czytelników i dla redakcji.

Dorota Rosińska
Agboville
Cote, D'Ivoire, Afryka

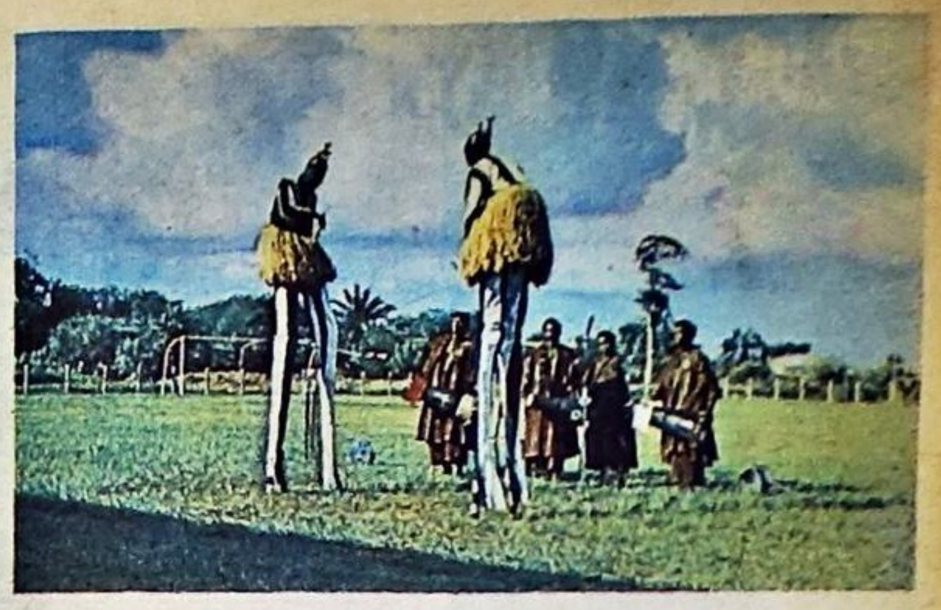

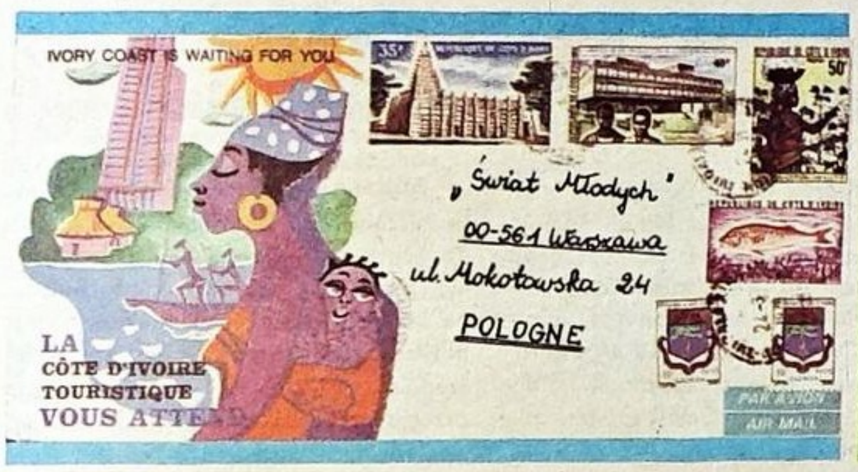

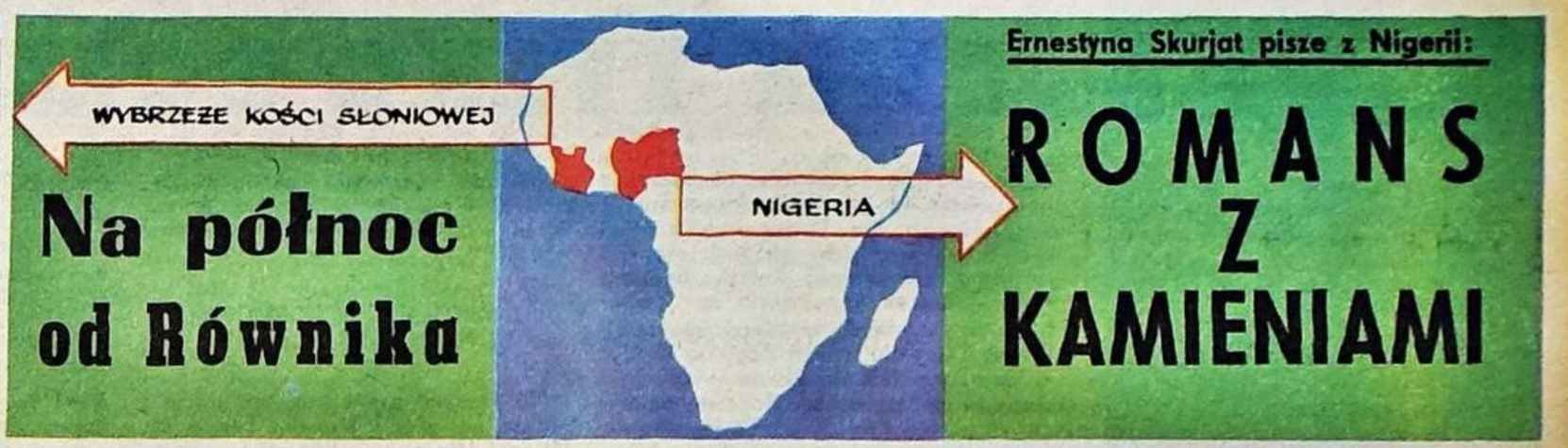

Ernestyna Skurjat pisze z Nigerii:

Na północ od Równika

ROMANS Z KAMIENIAMI

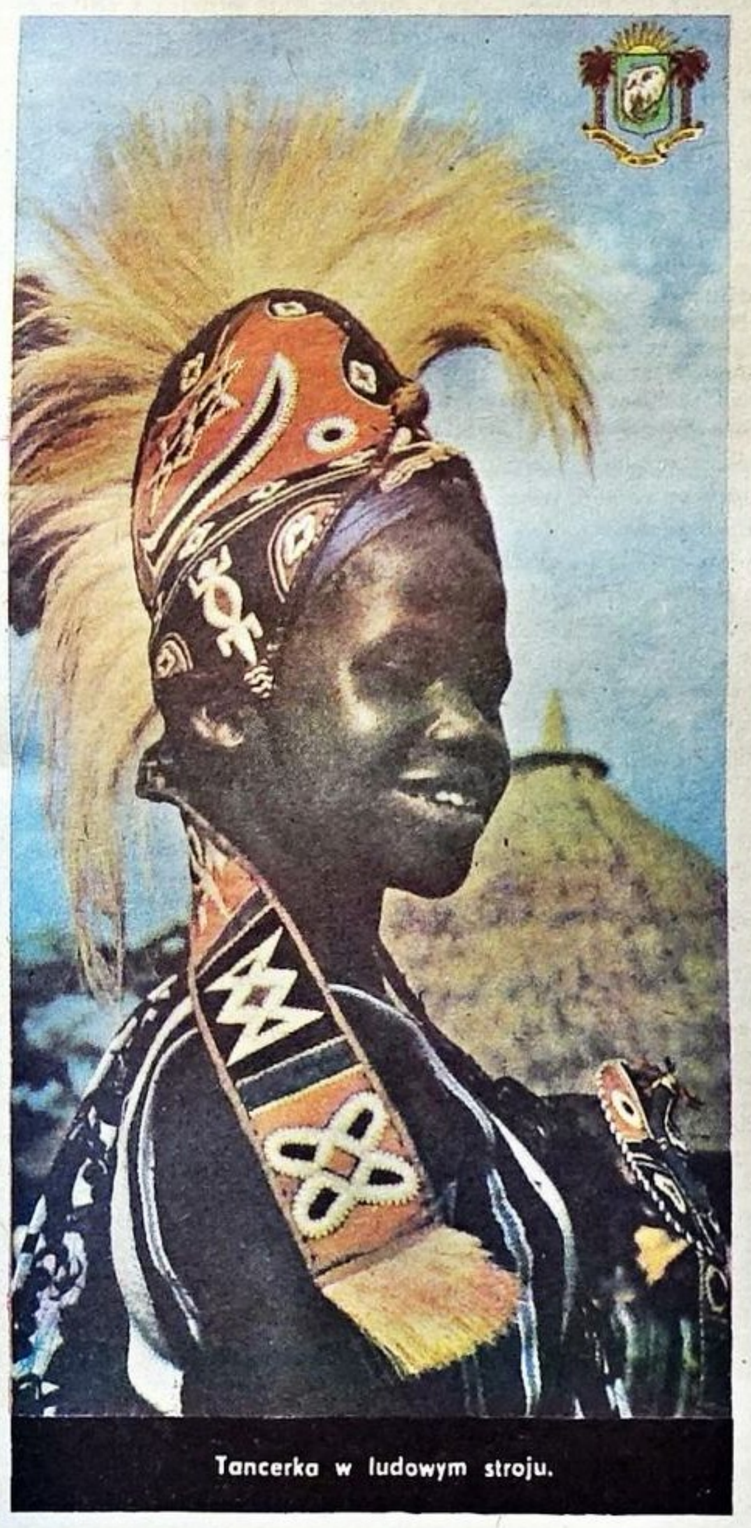

Tancerka w ludowym stroju.

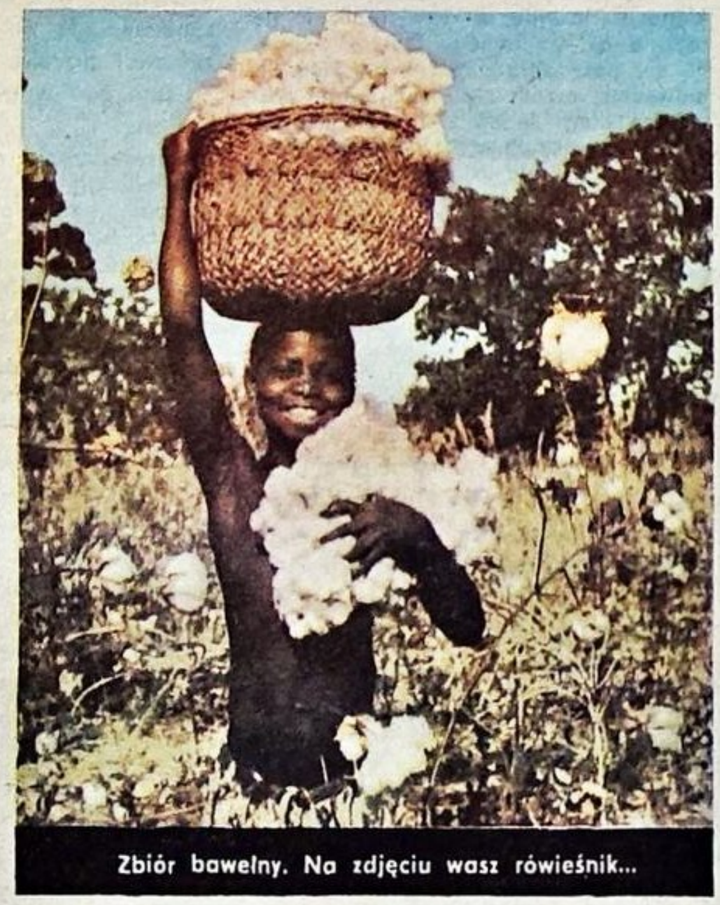

Zbiór bawełny. Na zdjęciu wasz rówieśnik...

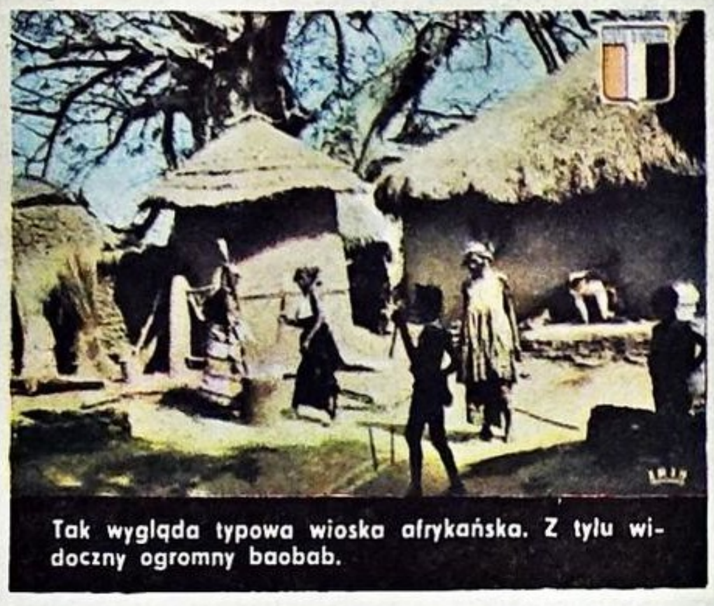

Tak wygląda typowa wioska afrykańska. Z tyłu widoczny ogromny baobab.

Tak barwnie wygląda plac targowy w Republice Wybrzeża Kości Słoniowej.

WSTAŃ — trąca mnie łokciem kolega. — Hymn grają.

— To już koniec imprezy? — pytam szeptem, ale już w pozycji na baczność. Kończy się właśnie wielka impreza — festiwal kulturalny w Ibadanie. Słucham i nie bardzo mogę rozpoznać melodię hymnu nigeryjskiego. Dziwne dźwięki... Jakby stuk kamieni.

Po wysłuchaniu hymnu wielotysięczna publiczność szaleje z zachwytu, a mały, przysadzisty gubernator Rotimi gorąco bije w dłonie. To owacje dla młodego Onibonokuty, rewelacji tegorocznego festiwalu, wynalazcy oryginalnego instrumentu.

ADEMOLA ONIBONOKUTA...

...jak większość znakomitych artystów nigeryjskich, pochodzi ze słynnego miasta Oshogbo. Tu, na festiwalu, zrobił furorę dziwnymi instrumentami, którym nadał nazwę ODU. Jest to rodzaj żelaznych gongów i kamieni. Każdy z jedenastu gongów daje inny dźwięk. Podobnie jest z dziewiątką kamieni różnej wielkości. Uderza się w nie kamiennym „patykiem". Ciekawy eksperyment, zaskakujący efekt.

Z miłym zdumieniem stwierdzam, jak wszechstronnie utalentowani są Nigeryjczycy, w jak młodym wieku mogą się poszczycić osiągnięciami niebagatelnymi, piastowaniem wysokich stanowisk. Onibonokuta ma dopiero dwadzieścia osiem lat, a już od lat znany jest jako aktor, malarz, scenograf, poeta, tancerz, muzyk. Jeśli nawet z połową tych talentów przesadzono, to jak na młodego człowieka osiągnął już i tak dużo. A jego droga do sławy wcale nie była łatwa...

Kiedy Ademola przyszedł na świat, jego ojciec miał już ponad czterdzieści lat i zwątpił, czy któraś z dwóch żon da mu potomstwo. Więc poślubił trzecią. Ta przez kilka lat składała ofiary patronce bezpłodnych kobiet, a ufność jej w moc bogini Oshun została nagrodzona.

Zgodnie z planami ojca, pierworodny syn miał być przeznaczony do stanu kapłańskiego kultu Ifa. Ale prawdziwa droga Ademoli do kapłaństwa przebiegała w dość nietypowy sposób. A było to tak:

Ademola znany był w zespole szkolnym jako doskonały gawędziarz i solista. Wkrótce zaczął też malować, grać na różnych instrumentach, tańczyć, brać udział w szkolnych przedstawieniach.

W roku 1962 jego zespół zajął drugie miejsce w konkursie teatralnym, zorganizowanym przez Uniwersytet Ibadański. Aktorski talent Ademoli zwrócił uwagę słynnego dramaturga Duro Ladipo, który zatrudnił młodzieńca w swoim zespole teatralnym.

ALE PO PEWNYM CZASIE...

...Ademola popadł w konflikt z członkami zespołu. Postanowił odejść. Nie bardzo jednak wiedział, co ma z sobą począć. W Nigerii nie było wówczas związku ani instytucji, która mogłaby opiekować się bezrobotnymi artystami. Po dłuższej tułaczce Ademola przysiadł więc któregoś dnia na progu domu Wole Soyinki, światowej sławy reżysera, dramaturga i pisarza, a on nakarmił i ugościł bezdomnego, znając zaś dotychczasową karierę Ademoli, postanowił przyjąć go do swego zespołu. I tak zaczęły się złote lata.

Wraz z zespołem Soyinki Ademola występował w Dakarze na I Światowym Festiwalu Kultury Murzyńskiej. W roku 1970 odbył tournée po USA. Zagrał w filmie „Zniwa Kongiego" nawiązując stałą współpracę z Peggy Harper, znaną reżyserką z Ibadanu. Pani reżyser miała w Ademoli doskonałego scenografa. Ponieważ wynagrodzenie za tę pracę nie podlegało ówczesnej siatce płac, Uniwersytet Ibadański zatrudnił zdolnego Ademolę na pierwszym-lepszym etacie „konsultanta". Tak bowiem postępowano wówczas z artystami ludowymi, którzy nie posiadali średniego (bądź jakiegokolwiek) wykształcenia. Dawano im zatrudnienie, aby mieli środki do życia, a jednocześnie sprawowano artystyczno-naukową kontrolę nad rozwojem ich talentów.

TO ZDOPINGOWAŁO ADEMOLĘ...

...bo szybko ukończył studia wyższe i objął stanowisko wykładowcy na Wydziale Dramatycznym Uniwersytetu Ibadańskiego. W wolnych chwilach pisze teraz dramaty, a także eksperymentuje z nietypowymi instrumentami. Ostatnio, już po „romansie" z kamieniami, uwagę swą skierował na skorupy orzecha kokosowego. Co z tego wyniknie? Nowa rewelacja? Trudno teraz na to odpowiedzieć, ale na inne pytania odpowiedź już jest. Czyż Ademola nie stał się — na swój sposób — kapłanem bóstwa Ifa? Przecież cała jego twórczość bliska jest sztuce tradycyjnej, odwiecznym kultom, rodzimej kulturze. A więc swojemu bóstwu Ifa wierny jest zarówno wtedy, kiedy maluje, gra oraz uczy młodych adeptów sztuki...

Finaliści tej miary co Ademola wezmą udział w II Światowym Festiwalu Kultury Murzyńskiej, który tym razem odbędzie się w Lagos. Koszt tej gigantycznej imprezy wyniesie nie mniej niż 120 mln dolarów. Przybędzie nań ponad 100 tysięcy artystów i obserwatorów z całego „czarnego" świata. Festiwalowe fanfary zagrają w listopadzie tego roku. Przez całych 30 dni w nowo wybudowanym Teatrze Narodowym w Lagos będzie wrzało jak w ulu. Dla uczestników buduje się miasteczko festiwalowe. Oprócz najlepszych zespołów teatralnych i grup folklorystycznych będzie można obejrzeć tradycyjną sztukę gotowania, fryzjerstwa, tatuażu, pokazy rzemiosła artystycznego, współczesne malarstwo, rzeźbę, fotografikę, a także wystawy pn. „Wkład czarnej rasy w naukę, technikę i racjonalizację", „Wpływ sztuki afrykańskiej na sztukę Europy" oraz „Afryka a pochodzenie człowieka". Najciekawszym jednak wydarzeniem, będzie festiwal filmów zrealizowanych przez młode, niedoświadczone jeszcze wytwórnie.

Zdjęcie autorki

REDAKCYJNA POCZTA

Gdzie jest dziennik?

Do zakończenia roku szkolnego pozostało niewiele tygodni, a tymczasem pewnego dnia zginął w naszej (ósmej!) klasie dziennik... Przepadł jak kamień w wodę. Nauczyciele rozpoczynali poszukiwania z myślą, że znajdą i dziennik i winowajcę. Ale nie znaleźli! Przed zniknięciem dziennika miało się odbyć zebranie informujące o ocenach uczniów, więc najwyraźniej „komuś" zależało na tym, aby dziennika nie było. Na zebraniu pani wychowawczyni powiedziała nam, że jeśli nie znajdziemy sprawcy, będziemy mieć obniżone sprawowanie. Jesteśmy zrozpaczeni. Podejrzewamy kilka osób, ale przecież nie podejdziemy do nich i nie powiemy „oddaj dziennik" lub „dlaczego ukradłeś?". Apelujemy więc do uczniów z naszej klasy o zwrot dziennika – jeśli jest jeszcze cały.

Klasa ósma z Kętrzyna

Nasz przyjaciel

W tym roku rozstajemy się ze szkołą i w związku z tym pragniemy podziękować całemu gronu pedagogicznemu, a szczególnie p. Wiesławie Miszczak – naszej wychowawczyni. Jest ona zapalonym biologiem i nas również zaraziła swoją pasją. Kiedy rozpoczęła pracę w naszej szkole, wnętrze i otoczenie budynku zmieniło swój wygląd. W klasach jest teraz pełno kwiatów doniczkowych, mamy działkę warzywniczą. Nasza pani nie skąpi nam złych stopni, ale ocenia nas sprawiedliwie – lubimy ją. Wiele, bardzo wiele pomogła nam w wybraniu kierunku dalszej nauki. Jesteśmy jej wdzięczni.

Uczniowie klasy ósmej
z Krześlina

Krzysztof Michalski, wieś Kłobuczyn 47, pow. Głogów, woj. Zielona Góra, 67-230 Gaworzyce chciałby nawiązać kontakt z kolegą interesującym się: techniką samochodową, zbieraniem modeli samochodów zagranicznych i polskich, majsterkowaniem.

Kieł czy róg?

Członkowie naszego zastępu „Flisacy" wykopali z ziemi kość nieznanego zwierzęcia. Kość ta posiada długość 1,5 m, grubość 21 mm, jej ciężar wynosi około 10 kg. Pomóżcie nam odgadnąć, co to jest – kieł czy róg i jakiego zwierzęcia?

„Flisacy" ze Szkoły Podstawowej w Siemianowie k/Nowego Targu

Od Redakcji: Ponieważ nie opisaliście, jaki kształt ma znaleziona przez Was kość – nie możemy – aby Wam odpowiedzieć – zasięgnąć porady w Pogotowiu Archeologicznym... Radzimy zawiadomić muzeum w Zakopanem lub też wysłać list do Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Krakowie.

Przy okazji chcielibyśmy Was zainteresować działalnością Pogotowia Archeologicznego, które istnieje w Warszawie i o którym warto wiedzieć. Pogotowie to bowiem przyjmuje archeologiczne zgłoszenia z całej Polski. Wy także możecie wysłać zawiadomienie o swoim znalezisku. Oto adres: Pogotowie Archeologiczne, ul. Długa 52, 00-950 Warszawa.

Z pracą pogotowia zapozna Was książka Jerzego Głosika pt. „Pościg za skarbami". Książka (kosztuje 15 zł, wydała ją w ub. roku Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza) zawiera ilustracje znalezisk oraz szczegółowe informacje jak należy postępować w wypadku natrafienia na wykopalisko.

Może Wasz zastęp „Flisaków" znajdzie jeszcze coś ciekawego?

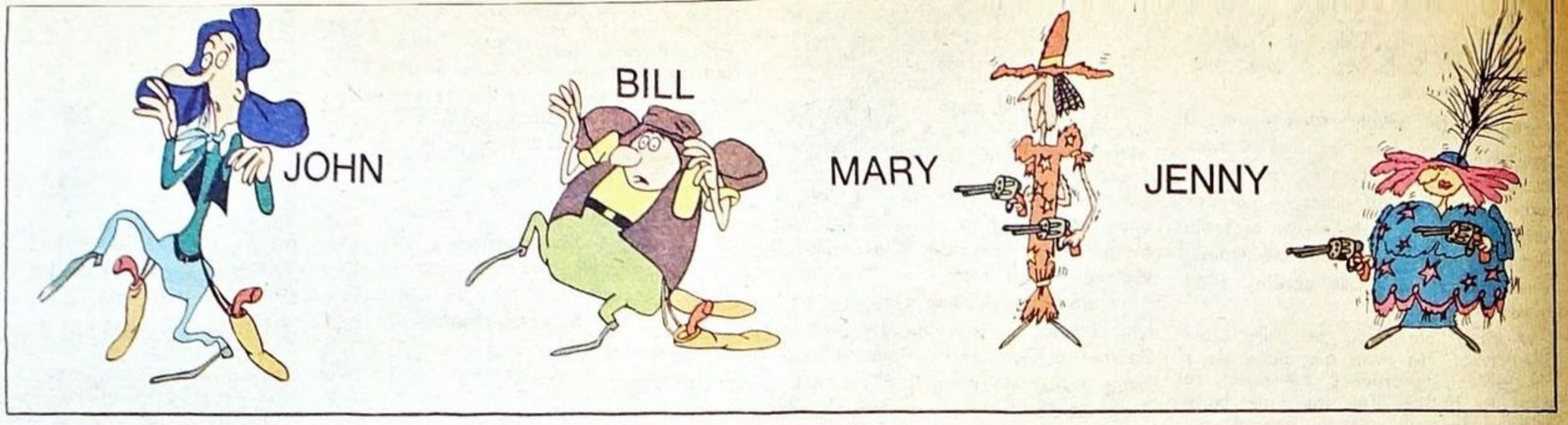

IV OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL FILMÓW DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

NIE TYLKO BOLEK I LOLEK...

„Te okrutne zabijaki" zawojowały publiczność IV Ogólnopolskiego Festiwalu Filmów dla Dzieci i Młodzieży spotykającą się w dniach 3–6 kwietnia w poznańskim Pałacu Kultury. Reżyser filmu – Leszek Komorowski ze Studia Miniatur Filmowych w Warszawie zdobył na Festiwalu trzecią nagrodę i... już pracuje nad drugim filmem o przygodach swych bohaterów. Nagrodę pierwszą – „Złote Koziołki" w kategorii filmów animowanych otrzymał film „Ameba", „Srebrnymi Koziołkami" uhonorowano opowieść „O królu Popielu". Nagród i wyróżnień było zresztą mnóstwo – nie sposób ich nawet wszystkich wymienić! Obok dorosłego jury, któremu przewodniczył reż. Janusz Nasfeter, wszystkie filmy oceniały też bowiem dzieci nagradzając je swoimi „Marcinkami". Oddzielnie nagrodę Głównej Kwatery ZHP przyznać miał Harcerski Klub Filmowy. Zadanie to było niełatwe, tym bardziej, że wszystkie 44 pokazane filmy były ciekawe! Najmłodsi spotkali oczywiście swoich ulubieńców: Bolka i Lolka, misia Colargola, psa Reksia i pomysłowego Dobromira – ale nie tylko! Sporo pojawiło się postaci nowych, a występujący w „Safarii" i „Akcji las" P. P. Lutczyna dziadek, tak się dzieciom spodobał, że w swoim sędziowskim werdykcie zaproponowały stworzenie o dziadku nowego serialu. Obejrzeliśmy też „Bulеczkę" Anny Sokołowskiej i odcinek z serii „Karino". Starsi najgoręcej oklaskiwali telewizyjną wersję „Łukasza" K. Siesickiej w reżyserii Anette Olsen i „Koniec wakacji" Stanisława Jędryki.

„NASTOLATKI W KOSMOSIE" I NASTOLATKI W FILMIE

Na Festiwal przyjechali też goście z jedynej na świecie Wytwórni Filmów dla Dzieci i Młodzieży – Wytwórni im. Gorkiego w Moskwie, w której realizuje się rocznie ok. 25 filmów. Goście podzielili się doświadczeniami z polskimi filmowcami, przedstawili też swoje najnowsze filmy. Jeden z nich – „Nastolatki w Kosmosie" w reż. Riczarda Wiktorowa opowiada o młodzieżowej wyprawie do gwiazd. Jest to druga część filmu „W drodze na Kasjopeję", który wszedł właśnie na nasze ekrany. Mimo że akcja II części rozgrywa się po 40 ziemskich latach, bohaterowie nie zestarzeli się, podróżując w Kosmosie podlegają bowiem prawu względności.

Radzieccy twórcy ciekawie opowiadali też o pracy z najmłodszymi aktorami. Reżyser Ilia Frez dobiera zawsze do swych filmów takich młodych wykonawców, którzy odpowiadają bohaterom nie tylko wyglądem zewnętrznym, ale i charakterem. Nieśmiali grają więc nieśmiałych, weseli wesołych. Jeśli bohater dojrzewa, zmienia się w filmie, zmienić się musi i grający go aktor. Kręcąc film reżyser jest więc zarazem wychowawcą. Niełatwe to zadanie i sama praca na planie zwykle nie wystarcza. Choć różnie bywa. Kiedyś nieśmiały chłopiec, który miał rzucić się z pięściami na dorosłego aktora, tak „dał się wychować", że odważywszy się wreszcie zapomniał, że tylko gra i solidnie poturbował przeciwnika. Trzeba go było od starszego „kolegi po fachu" odciągnąć siłą.

Doświadczenia radzieckich reżyserów potwierdzają i nasi. Stanisław Jędryka na spotkaniu z młodzieżą powiedział, że grający Jurka w „Końcu wakacji" Marek Sikora był bardzo do filmowego bohatera podobny. Nie tak błyskotliwy na planie jak jego koledzy, nie umiał jak oni „brylować", ale sympatię wszystkich zdobył pierwszy, podobnie jak w filmie, gdzie zjednuje sobie Elżbietę, mimo że nie stara się wcale jej imponować.

Anette Olsen zwróciła zaś uwagę na to, że nastolatki grające w filmie nie powinny zbyt często występować w scenach z dojrzałymi aktorami. Ich gra jest zupełnie inna i takie spotkania na ekranie rażą sztucznością, są niekorzystne dla obu stron. Zbyt duży jest kontrast między zachowaniem się przed kamerą amatora, a zawodowego artysty. Nastolatki grają zwykle siebie i „cała sztuka" w tym, by były jak najbardziej naturalne – aby właściwie wcale nie grały!

ŁUKASZ CZY JUREK?

Działający od dwóch lat przy Wielkopolskiej Chorągwi ZHP Harcerski Klub Filmowy skupia 22 osoby. Spotykają się co trzy tygodnie, oglądają filmy, dyskutują. Tym razem postawiono im trudne zadanie – mieli przyznać nagrodę jednemu z festiwalowych filmów. Nic dziwnego więc, że ich dyskusje często przypominały kłótnie, tym bardziej, że przeradzały się zwykle w rozmowę o życiu, o problemach młodzieży. Najwięcej sporów wywoływały filmy „Łukasz" i „Koniec wakacji".

– „Łukasz czy Jurek?" – dwóch bohaterów o tak odmiennych charakterach prowokowało do dyskusji o postawach nastolatków, o dojrzałości. Zbuntowany Łukasz, trudniejszy do określenia – bo i dobry i zły, wydawał się niektórym ciekawszy od „naiwnego idealisty" Jurka. Ale napadano też na niego za to, że niczego nie potrafił przeprowadzić do końca, że jego bunt był niepoważny, szczeniacki, że postąpił jak „Bulеczka"! Jurek, choć mniej efektowny jest bliższy współczesnej młodzieży – tej średniej, przeciętnej! – Ale czy jego przeciętność jest zaletą? – bronili się zwolennicy Łukasza. Łukasz jest inny, lecz ludzie są różni – musicie nas jeszcze przekonać, że był gorszy! A to nie jest łatwe.

Nastolatki w drodze na Kasjopeję – zdjęcie z nowego radzieckiego filmu fantastyczno-naukowego dla młodzieży.

I choć nikt nikogo nie przekonał, jeden wniosek wyciągnięto jednak wspólnie: że ludzi nie można z góry jednostronnie oceniać, że wyroki ferować należy ostrożnie. A tego uczą właśnie oba filmy – i dlatego oba są dobre! Ich zaletą jest też to, że wywołują takie spory, że prowokują widza. I dlatego, choć chciałoby się, aby kończyły się jednoznacznym „happyendem", lepiej, że tak nie jest, że reżyserzy pozostawili problem otwarty zmuszając wszystkich do zastanowienia.

Ponieważ zwolennicy Łukasza nie poddawali się, zadecydował głos większości. Nagrodzono „Koniec wakacji" i autora scenariusza filmu – Janusza Domagalika. Jemu przecież zawdzięczamy przede wszystkim stworzenie ciekawej postaci Jurka z jego wszystkimi kłopotami i radościami. Dorosłe jury nagrodziło zaś reżyserów obu filmów, pierwszeństwo oddając Anette Olsen, której film uznano za bardziej kontrowersyjny i więcej wymagający od widza. A jak rozstrzygnęlibyście Wy?

J. GOSTKOWSKI

Agata Siecińska i Marek Sikora grający w filmie „Koniec wakacji" rozmawiają z członkami Harcerskiego Klubu Filmowego. Zdjęcie: Marek Szymański

OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA

Uczniowie Mazowsza i Podlasia współpracują z Polską Akademią Nauk

Uczniowie w roli naukowców? Brzmi to trochę nieprawdopodobnie. A jednak...

Od około piętnastu lat trwają na terenie Mazowsza i Podlasia największe w dziejach naszego kraju badania gwaroznawcze, w których – obok językoznawców z Polskiej Akademii Nauk – uczestniczy młodzież szkolna.

Początkowo zadanie uczniów polegało tylko na zapisywaniu usłyszanych wyrażeń gwarowych. Z tych zapisów powstały słowniczki, na podstawie których językoznawcy ułożyli specjalne kwestionariusze gwaroznawcze, stanowiące już bardziej skomplikowaną i systematyczną formę badań.

Kwestionariusze zawierają pytania dotyczące słownictwa z najrozmaitszych dziedzin życia wsi. Uczniowie chodzą z nimi do starszych osób, notują ich odpowiedzi, a potem sporządzają specjalne mapki językowe. Dzięki temu ginąca już dziś gwara ludowa zostaje utrwalona i ocalona od zapomnienia.

– Zbieranie gwary jest bardzo ciekawe – opowiadają „Po-Gwarki", czyli członkowie koła gwaroznawczego, którym opiekuje się pani Aniela Malanowska, istniejącego przy Liceum im. T. Kościuszki w Łomży. – Często dokonujemy różnych odkryć. Np. w jednej wsi wołają na kaczki „taś-taś" – w innej, w ten sam sposób wołają na gęsi; w jednej wsi „bezdusznik" to znaczy zły człowiek, w innej – po prostu głupiec.

Czasami bywa mniej przyjemnie. Zdarza się bowiem, że młody naukowiec napotyka na przeszkody, np. zamyka mu się drzwi przed nosem.

– Ludzie, zwłaszcza ci ze średniego pokolenia, często nie mają do nas zaufania – kontynuują „Po-Gwarki". – Albo boją się, że przeprowadzamy jakieś kontrole finansowe, albo się po prostu wstydzą. Dla nich gwara i obyczaj ludowy, to coś prymitywnego, oznaczającego brak kultury, zacofanie. Tylko najstarsi ludzie cieszą się, gdy do nich przychodzimy, że ich dawne życie, mowa i zwyczaje kogoś interesują.

Na nieufność gospodarzy wypracowały już „Po-Gwarki" specjalne sposoby.

– Zachowujemy się jak zwyczajni turyści – mówią. – Szukamy noclegu, pijemy mleko, pomagamy gospodarzom w polu. Dopiero kiedy się z nimi trochę zaprzyjaźnimy, wyciągamy kwestionariusze i magnetofon. A wtedy – nie ma już kłopotów. Przeciwnie! Na wyścigi udzielają nam informacji.

Magnetofon „Po-Gwarki" zawsze wożą ze sobą. Bo gdy starzy ludzie już się rozgadają, to fascynującym opowieściom a nawet śpiewom – nie ma końca! W ten sposób udało się „Po-Gwarkom" utrwalić kilka nie zapisanych dotąd piosenek.

„Po-Gwarki" to zaledwie jedna z wielu uczniowskich grup gwaroznawczych, które od lat prowadzą te żmudne badania. Uwieńczeniem tej pracy będzie opracowywany w Polskiej Akademii Nauk słownik gwar Mazowsza i Podlasia.

J. WISZNIEWICZ

CYRKOWCY Z CHRZELIC

Modą na rowery nie przemija. Można nawet powiedzieć, że w ostatnim czasie zrobiły one światową karierę. Na dwóch kółkach jeździ się niemal na wszystkich kontynentach.

We wsi Chrzelice w pow. prudnickim też są modne rowery tylko, że nie te wyścigowe, składane czy turystyczne, ale... jednokołowe, i to od jednego do czterech metrów wysokości!

OD ZŁOMU DO „JEDNOKÓŁKI"

W 1966 r. dyrektor szkoły podstawowej w Chrzelicach, pan Piotr Bień, wraz z gronem pedagogicznym zorganizował akcję zbiórki złomu. Ku ogólnemu zdziwieniu organizatorów szkolne boisko wypełniło się po brzegi starymi kołami, ramami rowerowymi i motocyklowymi, żelazkami, płytami kuchennymi i innymi żelaznymi przedmiotami. I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie pomysł pana Rajmunda Murlowskiego. Namówił on dyrektora szkoły, by wszystkiego, co młodzież przyniosła, na złom nie oddawać. Część z tych rzeczy postanowił inaczej wykorzystać. Wybrano więc co lepsze stare części rowerowe i motocyklowe, gromadząc je w domowym warsztacie pana Murlowskiego. Przez miesiąc paliło się tam światło do późnych godzin nocnych. Aż pewnego dnia cała wieś wylegla na ulicę, by podziwiać akrobatyczny popis jazdy Murlowskiego — juniora. Jechał on, z trudem utrzymując równowagę, na jednym kole!

Pan Rajmund Murlowski promieniał ze szczęścia. Długo bowiem musiał czekać na spełnienie swych życiowych marzeń.

Gdy był małym chłopcem, marzył o karierze artysty cyrkowego. Kozy swoich rodziców wytresował tak, że skakały przez przeszkody, biegały parami, a nawet tańczyły. Zrobił sobie szczudła i odbywał na nich spacery po linie zawieszonej w stodole ojca, do której zapraszał szkolnych kolegów, by podziwiali jego cyrkowe sztuczki.

Trenował uparcie i pewnie zacząłby występować w cyrku, gdyby nie wojna...

Swoim hobby postanowił zainteresować syna. Ale Eryk wolał łazić z kolegami bez celu po wsi. Długo zastanawiał się pan Murlowski, czym by zainteresować chłopców, aż wreszcie... wpadł na pomysł zrobienia „jednokółki".

TRENUJEMY, ALE BEZPIECZNIE... KOŚCI ZAMIENNYCH BRAK!

Po triumfalnym przejeździe Eryka Murlowskiego przed warsztatem jego ojca stanęła w kolejce cała niemal młodzież z Chrzelic. Każdy chciał mieć jednokołowy rower. A pan Rajmund pracował cierpliwie, przywracając starym częściom rowerowym pierwotną świeżość i blask. Przy robieniu tych dziwnych wehikułów pomagali mu wszyscy chłopcy. Do chwili obecnej zrobił „jednokółek" — 30. Teraz pracuje nad rowerem o wysokości 5 m, ale do zrobienia jego potrzebne są odpowiednie rurki, gdyż te ze złomu nie nadają się. Muszą być ze specjalnej stali, lekkie a mocne. Ale skąd je wziąć?!

Treningiem chłopców zajął się dyrektor szkoły, swoje doświadczenia „pioniera-oblatywacza jednokółki" zaczął przekazywać kolegom Eryk Murlowski. I tak coraz liczniejsza grupa chłopców zaczęła trenować jazdę na jednym kole. Trenowali z zapałem wiele godzin dziennie. Chłopcom pozazdrościły dziewczęta. Pierwszą, która się odważyła wsiąść na ten dziwny rower, była Beata Bień.

Dziś już nie ma śladu po siniakach, które nabijali sobie spadając z rowerów. Z uporem jednak powtarzali hasło: „Trenujemy, ale bezpiecznie... kości zamiennych brak!". A gdy już jako tako opanowali trudną sztukę jazdy na jednym kole, postanowili stworzyć mały zespół cyrkowy. Pierwszy pokaz odbył się podczas uroczystości pierwszomajowych w 1968 roku, w miejscowości Łącznik. Rowerzyści z Chrzelic zrobili prawdziwą furorę. Młodzież z pobliskiej miejscowości z zazdrością spoglądała na akrobatyczne popisy swoich rówieśników.

Cyrkowcy z Chrzelic zaczęli doskonalić swoje umiejętności. Ci najlepsi przesiedli się z rowerów o wysokości 1 metra na 4-metrowe, nauczyli się też jeździć do tyłu, parami, ale co najważniejsze — spadać z roweru bezpiecznie, tak jak to potrafią prawdziwi cyrkowcy-kaskaderzy.

Pewnego dnia wybrali się nawet na wycieczkę. I ku ogólnemu zdziwieniu pokonali trasę 8 km. Na swym koncie mają już eskapady 60 km i rekord szybkości na „jednokółce" — 8 km na godzinę. Teraz marzy im się objazd Polski.

Zdolnościami pana Murlowskiego i młodymi akrobatami rowerowymi zajął się Zakład Prefabrykacji Górniczej z Białej. Pan Rajmund będzie miał specjalne rurki, z których powstanie 5-metrowa jednokółka, a wszyscy jego „cyrkowcy" zostaną ubezpieczeni.

Czy objadą Polskę na jednym kole?

Życzymy im tego z całego serca!

DARIUSZ SZPAKOWSKI

Zdjęcie: **Marek Szymański**

PS. A może ktoś z Was też chciałby mieć taki dziwny pojazd? Tym bardziej, że można go zrobić samemu z niewielką pomocą osoby dorosłej i co ważniejsze, że części nic nie kosztują. Jak go zrobić? I jak nauczyć się na nim jeździć? Na te pytania odpowiedzą cyrkowcy z Chrzelic.

Ich adres: Chrzelice 177, pow. Prudnik, kod. 48-220.

MOJE — NIE MOJE

Od paru tygodni dyskutujemy o tym, kiedy jakaś sprawa jest sprawą prywatną, a kiedy przestaje nią być. O tym, czy można się wtrącać w sprawy innych ludzi... Oto kolejne wypowiedzi:

MOJE SMUTKI — MOIMI SMUTKAMI

Należy tak postępować, aby innym z nami a także nam z innymi było dobrze. Każdy z nas ma zmartwienia, często swoje smutki pragnie mieć tylko dla siebie. I słusznie. Dlaczego, jeśli ja mam coś na sercu, jeśli mnie coś gryzie — ktoś inny ma się martwić?! Oczywiście, nie uważam, że człowiek powinien być samolubny, mieć wszystko (a więc łącznie ze smutkami) tylko dla siebie, a w dodatku żyć jak odludek. Ale... No właśnie! Są takie sprawy, które naprawdę pragniemy mieć tylko dla siebie. Na przykład marzenia. Marzenia, które posiada chyba każdy, które są celem naszych dążeń. Czy są realne?! Otóż o to chodzi, że nie zawsze i dlatego wolimy je mieć tylko dla siebie i nie lubimy, żeby ktoś się do tego wtrącał.

Sądzę, że w sprawy prywatne innych ludzi nie powinniśmy się wtrącać. Można to zrobić tylko wtedy, gdy już zostaliśmy w te sprawy wtajemniczeni i to też zależy od tego czy poinformowani zostaliśmy o niej bezpośrednio przez osobę zainteresowaną, czy przez osoby pośrednie. Jeżeli przez osobę, której ta sprawa dotyczy bezpośrednio, możemy uważać, że sprawa przestała być prywatna. W innym wypadku — nigdy!

Urszula z Motarzyna

NIE NALEGAĆ!

No cóż, koleżanka Małgorzaty uważa pewnie, że nie potrzebuje klasowej pomocy, albo jest zdania, że taka pomoc by ją poniżyła. Trudno, musicie ją zostawić w spokoju. Ostatecznie, to w końcu jej sprawa.

„Suddenly"

WAŻNA GRANICA

Między „moje", a „nie moje" przebiega granica, którą trzeba w porę zauważyć. Np. Małgorzata miała prawo uznać oceny koleżanki za „moje". Widząc bowiem, że tamta nie radzi sobie z nauką miała wręcz obowiązek jej pomóc. Dziwi mnie tylko reakcja tej koleżanki. Cóż, widocznie „ustawiła" sobie tę granicę w innym miejscu.

Nika z Wrocławia

TO SZERSZA SPRAWA

U nas w klasie jest podobna sytuacja jak u Małgorzaty. Mamy koleżankę, której wcale nie zależy na ocenach. I wychowawczyni, i my dokładamy wszystkich starań, by ją w nauce podciągnąć, ale ona wcale o to nie dba i pogarsza opinię klasy. Myślę, że ta sprawa, jak i sprawa przedstawiona przez Małgorzatę, nie są sprawami prywatnymi tych dziewcząt. Przecież przez ich niedbałość i lenistwo cierpi cała klasa.

Ewa z Warszawy

WŚCIBSTWO CZY ŻYCZLIWOŚĆ

Sprawa prywatna przestaje być sprawą prywatną jeśli chodzi o dobro ogółu. Taka sytuacja była przedstawiona w liście Małgorzaty, natomiast problemy, o których napisały Celina i Grażyna nigdy by nie zaistniały, gdyby wszyscy umieli odróżnić wścibstwo od życzliwości.

Barbara z Ostrołęki

JAK UTRAFIĆ!

Bardzo często chcemy komuś pomóc, a potem zostajemy ofuknięci: „to nie twoja sprawa!". Albo ktoś chce, żebyśmy mu pomogli, a my mówimy: „to twoja sprawa".

Aśka K. z Rybnika

SPOŁECZNA I OSOBISTA

Przytoczę pewną zasadę, która wydaje mi się słuszna i życiowa: otóż, jeżeli pewne, często drażliwe sprawy dotyczą tylko i wyłącznie jednej osoby, bądź jej najbliższego środowiska rodzinnego — nie należy się wtrącać, jeśli natomiast zagadnienie obejmuje już większą ilość osób i jest bardziej sprawą społeczną niż osobistą — należy natychmiast zainteresować się i odpowiednio zadziałać tam gdzie trzeba.

Od tej zasady, która pomogła mi wielokrotnie uniknąć klasowych plotek bywają jednak odchylenia, a te to już każdy musi sam rozstrzygnąć.

Dorota z Poznania

Z UMIAREM

Po przeczytaniu listu Grażyny ogarnęło mnie oburzenie. Ja też chodzę do VI klasy i też mam swojego chłopaka. Większość moich koleżanek też ma chłopców. Owszem, czasami sobie urządzamy żarty na ten temat, ale nie takie brutalne!

Julitta z Gliwic

UWAGA, KONFLIKT!

W sprawy prywatne innych ludzi nie powinno się wtrącać, gdy mają one charakter: rodzinny, sądowy lub urzędowy. A to z uwagi na nieprzewidziane reakcje drugiej strony mogące wywołać dalsze, przewlekłe konflikty.

Gienek z Chorzowa

ZNIECZULICA

To, co Janusz przyjął jako swą życiową zasadę ma bardzo popularną nazwę — znieczulica.

Wydaje mi się, że nie wolno przyjmować takiej postawy! Powinniśmy pomagać innym, gdy są nieszczęśliwi, gdy tej pomocy potrzebują, gdy jest ona po prostu naszym obowiązkiem. A Janusz narzucił sobie obojętność na wszystko. Potępiam tę postawę i tę zasadę.

Bogdan z Nasielska

TO WSZYSTKO Z NUDÓW...

Są sprawy, do których wtrącanie się jest grubym nietaktem, ale są i takie, w które — chociaż nikt o to nie prosi — należy ingerować.

Niestety, jest wielu ludzi, nie tylko nastolatków, ale osób dorosłych, którzy wykazują dziecinną niezaradność i absolutną ignorancję w zakresie odróżniania jednych spraw od drugich.

Czasem taka „pomoc", z której więcej szkody niż pożytku, wynika z dobrych chęci, niefortunnym pomocnikiem kierują dobre intencje, działa on w dobrej wierze. Ale tak się zdarza raczej rzadko. Zwykle mają tu swój udział niższe pobudki — egoizm, zazdrość, plotkarstwo, wścibstwo — jednym słowem brak kultury oraz... nuda, charakterystyczna dla bardzo wielu ludzi, którzy „rozrywają się" kosztem innych.

Laura B. z Warszawy

A co Ty na to?! Jakie jest Twoje zdanie?

- **MOJE? NIE MOJE?**
- **WTRĄCAĆ SIĘ? NIE WTRĄCAĆ SIĘ?**
- **KIEDY? DLACZEGO?**

Czekamy na Twoją wypowiedź!

Pisząc, zaznacz na kopercie hasło: — „MOJE — NIE MOJE".

PYTAJ — ODPOWIEMY

ZIELNIK

MIESZKAM w małym miasteczku w jednorodzinnym domku na „Osiedlu Leśnym". Obok tego osiedla rośnie las, rozciągają się pola. A urodziłam się na wsi letniskowej, w Małej Karczmie wśród lasów i jezior. Mój dziadek był tam leśniczym.

Postanowiłam założyć zielnik. Może nie wymyśliłam nic nowego, ale chciałabym, aby był jak najbardziej poważny, taki abym nie potrzebowała się go wstydzić i ukrywać przed koleżankami. Pragnę „Świecie Młodych", abyś mi pomógł zrobić pierwszy krok...

Mirosława Torlop
Pelplin

Przygotowanie zielnika jest bardzo łatwe. Ostateczny efekt, zależy tylko od dokładnego wykonania poszczególnych czynności. A więc:

ZBIÓR ROŚLIN przeprowadzać należy w zależności od pory kwitnienia poszczególnych gatunków. Najładniej bowiem w zielniku wygląda cała roślina razem z kwiatem. Roślinę delikatnie wykopujemy, a następnie uwalniamy jej korzenie od ziemi — najlepiej przepłukując je w wodzie. Nie należy zbierać roślin po deszczu i wcześnie rano.

PRZYGOTOWANIE zebranych okazów do suszenia polega na rozłożeniu ich na kawałkach bibuły (w ostateczności gazety). Poszczególne listki zachodzące na siebie przekłada się bibułą, a kwiaty tak rozkłada, aby płytki nie były pozaginane lub skulone. Na wierzchu kładziesz jeszcze jedną taką samą kartkę bibuły, przekładasz dodatkowymi kartkami gazet, na to następną roślinę itd. Grube korzenie można przeciąć na pół i część odrzucić, lub wypreparować kawałek korzenia. Rośliny dłuższe (np. trawy) tniemy na odcinki.

SUSZENIE. Stos kartek z umieszczonymi między nimi roślinami, należy przycisnąć deseczką lub ciężką książką. Codziennie zmieniając warstwy dodatkowych gazet — wysuszysz roślinę już po kilku dniach.

W ZIELNIKU, który jest zbiorem luźnych kart, umieszczamy okazy całkowicie wysuszone, przyklejając je paskiem papieru lub przyszywając do karty białego papieru (np. rysunkowego). Każda roślina powinna być opisana (nazwa, przynależność systematyczna, miejsce i data zbioru, uwagi — trująca, uprawna, chwast itp.).

Roślin chronionych zbierać niestety nie wolno. **(jd)**

GWIAZDOZBIÓR

RÓŻNE ROLE JÓZEFA NALBERCZAKA

W filmie „Koniec wakacji" rolę ojca młodego bohatera – Jurka – gra Józef Nalberczak. Na pierwszy rzut oka nie jest to ojciec sympatyczny. Małomówny, szorstki w sposobie bycia, potrafi „zgasić" syna jednym słowem. Na pytania odpowia często: nie wiem, albo zobaczymy. Nie uśmiechnie się, nie zapyta Jurka, co robił przez cały dzień. A jednak chłopiec stara się jak może spełniać jego życzenia, a nawet przewidywać, co ojcu mogłoby sprawić przyjemność. Jest między ojcem i synem więź, którą odczuwa każdy widz, choć oczywistych dowodów, że są oni sobie naprawdę bardzo bliscy, w filmie znaleźć można niewiele.

Gdyby ktoś zapytał Jurka, za co tak kocha ojca, chyba nie umiałby powiedzieć, bo trudno wyjaśnić, dlaczego zmęczonemu zdejmuje buty lub obserwuje go z daleka, pochylonego nad kuflem.

Jeżeli nie dziwimy się, że Jurek tak właśnie postępuje, jest to zasługa Józefa Nalberczaka – jego talentu aktorskiego i stosunku do dzieci, do młodszych.

Podczas realizacji filmu zaprzyjaźnił się on z całą grupką dzieci, które grały w „Końcu wakacji", ale szczególnie dużo czasu spędzał z Markiem Sikorą – Jurkiem. Nie tylko w czasie pracy na planie. Rozmawiali wiele ze sobą, wspólnie spędzali niedziele, stali się po prostu dobrymi znajomymi. Dzięki temu Marek Sikora mógł się zachowywać w scenach, które grał ze swoim filmowym ojcem, swobodnie i naturalnie.

Józef Nalberczak ma wprawdzie dorosłego już syna, ale ta łatwość nawiązywania kontaktu z bardzo młodymi aktorami nie wynika tylko z własnych doświadczeń. Młodociani partnerzy bez trudu orientują się, że aktor traktuje ich poważnie jak współpracowników i że nie lekceważy żadnych ich problemów.

„Koniec wakacji" nie jest pierwszym filmem, w którym ten doświadczony i lubiany aktor grał razem w młodymi. W serialu „Jeden zero do przerwy", a potem w filmie „Paragon – gola!" był doradcą i przyjacielem piłkarzy, w filmie „Morderca pozostawia ślad" opiekował się małą dziewczynką.

Józef Nalberczak, obecnie aktor Teatru Współczesnego, ma na swoim koncie ponad dwadzieścia ról filmowych i bardzo wiele telewizyjnych. Grywał postacie bardzo różne: był kolarzem, upartym wiejskim chłopakiem, sołtysem-reformatorem, szlachcicem-pijanicą i oficerem kontrwywiadu. Występował w komediach, filmach sensacyjnych, historycznych. Grał żołnierza broniącego Westerplatte i żołnierza-tułacza w „Popiołach". Nigdy natomiast nie przyjął roli, która wymagałaby włożenia niemieckiego munduru z II wojny. – Tak sobie postanowił i dotrzymał postanowienia.

Potrafił skutecznie wcielać się w różnorodne postacie i – jak przystało na prawdziwego aktora – udowodnić, że nie ma właściwie roli, która byłaby „nie w jego stylu". A jednak i dla niego samego dużym zaskoczeniem była rola profesora, którą zagrał dwa lata temu w telewizyjnym filmie „Profesor na drodze". Początkowo wydawało mu się, że to zadanie nie dla niego. Miał uczyć w liceum wieczorowym i stworzyć sylwetkę nauczyciela, który musi krótko trzymać swoją klasę, ale jednocześnie doskonale rozumie, jak trudno przychodzi dorosłym zdobywanie wiedzy, jakie mają kłopoty rodzinne. I oto okazało się, że „wszedł w skórę" profesora doskonale. Był wymagający, nawet jakby oschły, ale jednocześnie bardzo rozumny, życzliwy i wyrozumiały. Za tę rolę otrzymał Nagrodę Ministra Oświaty i Wychowania.

Tak się złożyło, że w ostatnich latach grał dwa razy rolę kierowcy, i to w dodatku ciężarówki. Jedną w filmie „Uciec jak najbliżej", a drugą w serialu telewizyjnym „Droga". A więc podobne ubranie, podobne miejsce za kierownicą i tryb życia, a jacyż to odmienni ludzie, ci dwaj kierowcy! Ten z filmu to podrywacz i spryciarz, ale lubiany, sympatyczny. Pełen fantazji, pogodny, jadący zawsze z radością ku nowej przygodzie, choć nie zawsze są to przygody, które można by pochwalać. Natomiast kierowca z serialu to cwaniak, grubianin, ordynarny, niekoleżeński zarozumialec. Postacie te są tak różne nie tylko dlatego, że scenarzyści i reżyserzy tak je sobie zaplanowali, ale dlatego, że aktor potrafił tak zagrać!

Za rolę w filmie „Uciec jak najbliżej" Józef Nalberczak został nagrodzony. Pół żartem, pół serio mówi, że to nagroda dużo cenniejsza niż za rolę pierwszoplanową, bo głównych ról jest w polskich filmach co roku kilkanaście, a drugoplanowych kielkadziesiąt albo i więcej. A stworzyć w filmie drugoplanową postać tak barwną, tak żywą, żeby przyćmiła główne postacie, to prawdziwa sztuka. I udało się to właśnie jemu.

KALINA GAWĘCKA

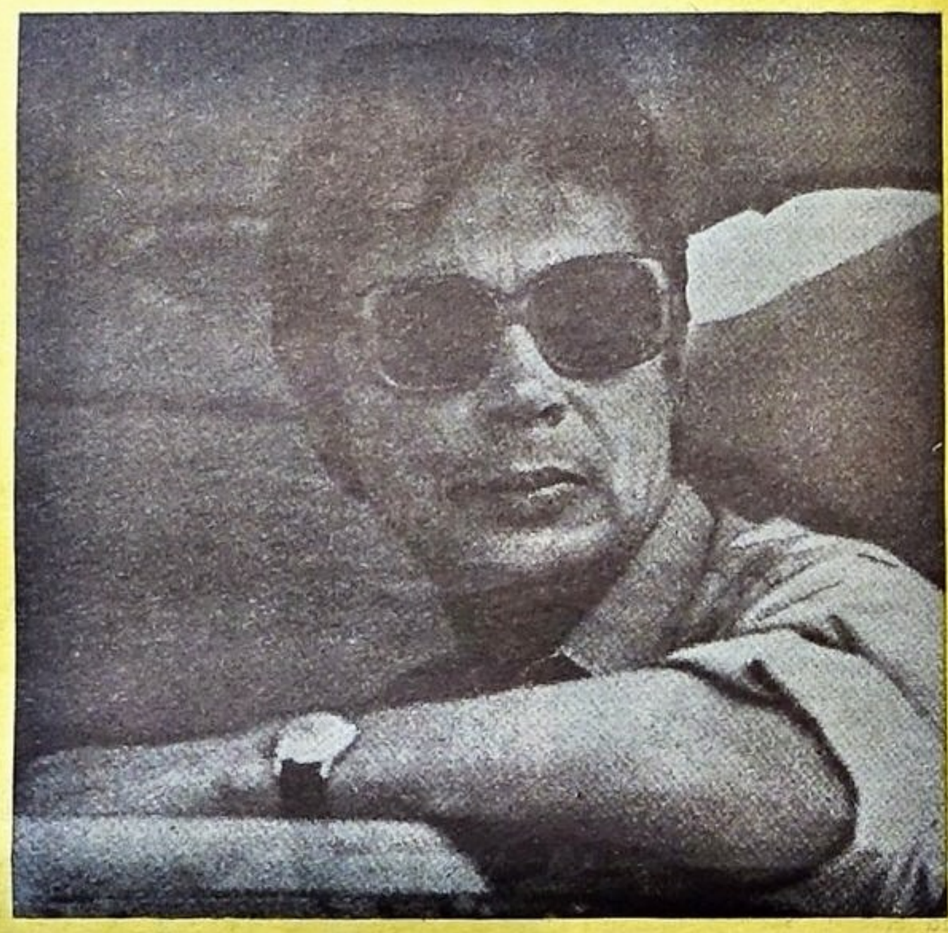

Byliśmy w sobotę na prywatce u Wojtka, takiej wcześniejszej imieninowej. Wojtek ma doskonałe taśmy, ale było tak jakoś niezbyt fajnie. Wszyscy jesteśmy trochę podenerwowani. Bo to z jednej strony każdy się trochę cieszy, że już z podstawówką koniec, a z drugiej – trochę się boi, jak to będzie dalej. Oczywiście, do strachu nie honor się przyznawać, ale właśnie stąd te nerwy.

No i zamiast tańczyć zaczęliśmy wtedy gadać, kto gdzie idzie. Znaczy się, do jakiej szkoły. Ci, co do ogólniaka to mają na razie spokój – chyba, że się nie dostaną, ale reszta zgryz ma niewąski. W końcu przecież żarty żartami, ale decyzja to nie na rok czy na dwa. A wybrać jakoś trzeba. Czytałam kiedyś artykuł o dziewczynie, która **musiała** iść do szkoły gastronomicznej, bo była to jedyna szkoła w najbliższej okolicy. Wtedy, jak to czytałam, to myślałam sobie, że dziewczyna jest nieszczęśliwa i że w ogóle to jest okropne **tak musieć**. Teraz jednak zaczynam myśleć, że w gruncie rzeczy miała ona... dobrze. Nawet jakby się później okazało, że ten zawód jej nie odpowiada, to nie ona sama byłaby winna – wygodniej w końcu przeklinać los niż własną głupotę. No i nikt się z niej nie śmiał.

Bo u nas to się śmieją. Z Urszuli, która wybiera się właśnie do szkoły gastronomicznej, z Joanny, która idzie do handlowej i z Maćka, który złożył papiery do hutniczej. „Coś ty, Aśka – mówią – będziesz cały dzień tyrała za ladą, nie lepiej iść do Liceum Ekonomicznego, potem jest czysta praca, w biurze!" W tym określeniu „czysta praca", to przoduje niejaki Darek, który zamierza zostać słynnym adwokatem. Kpi w żywe oczy z Aśki, Ulki, z Maćka i bez przerwy coś im na ten temat dogaduje. Na tej prywatce u Wojtka też tak szemrał, że aż Maciek... zaczął się tłumaczyć, dlaczego chce zostać hutnikiem.

Też coś! Tłumaczyć się przed takim Darkiem tylko dlatego, że będzie adwokatem. Słynnym! Jeżeli w ogóle będzie. A jeśli nawet, to co z tego?! I co to w ogóle za podział – lepszy zawód, gorszy zawód, czysty, brudny... Brudny, to dla mnie taki chłopak, który nie myje uszu. O, coś jak Darek, który z wodą i mydłem bywa na bakier.

Na szczęście Darek jest tylko jeden i ma nielicznych zwolenników. W końcu zawsze ktoś go utemperuje i nosa jakoś przytrze, ale mimo tego jest jakoś nie tak. Nastrój panuje taki bardziej podminowany. I nie wiem, czy się go uda rozbroić.

MAGDA

Jola Mareta, Jadzia Król, Bogusław Andruchowicz i Wojtek Iłowiecki wezmą udział w spotkaniu z węgierskimi zastępowymi.

GIEŁDA POMYSŁÓW jeszcze wcale nie ZAKOŃCZONA

- **KTO WYLOSOWAŁ NAGRODY?**
- **GIEŁDA POMYSŁÓW BARDZO UDANA!**

TRZEBA przyznać, że GIEŁDA POMYSŁÓW była... pomysłem bardzo udanym, a jej efekty niemal przewyższały nasze oczekiwania. Otrzymaliśmy mnóstwo propozycji na zbiórki zastępów – w harcówce, w lesie, na podwórku, w prywatnym domu. Zaczęliśmy je już drukować, będziemy je drukowali nadal. I to jest ta obiecana nagroda dla wszystkich jej uczestników.

Poza tym rozlosowaliśmy wśród uczestników giełdy TORBY Z TEKSASU, które otrzymują: **Ania Kluczwajd** z Torunia, **Agnieszka Stanazek** z Kujakowic G., **Ola Harazim** z Czerwionki, **Krystian Krząkała** z Chorzowa, **Edyta Osmolińska** z Kijan, **Janusz Sadowski** z Wołczyna, **Ania Gryziewska** z Warszawy, **Wanda Płocharska** z Brzezin Śl., **Urszula Kalinowska** z Włocławka, **Krysia Tomaszewska** z Grabowczyka, **Eugeniusz Kowalczyk** z Pankówki, **Marek Stranc** z Wilczyna, **Jola Pawlikowska** z Krakowa, **Teresa Pożniak** z Radnicy, **Janina Rainko** z Konarzyc oraz ZNACZKI „ŚWIATA MŁODYCH", które otrzymują: **Dorota Sierzańska** z Iławy, **Zbyszek Bohuszko** z Tarnowa, **Ela Świerczewska** z Długosiodła, **Agnieszka Tondera** z Milanówka, **Jola Adamowicz** z Lidzbarka Warm., **Kazia Strzała** z Markajmów, **Halina Kieca** z Jangradu, **Ala Stypuła** z Przyszowa, **Iza Ciellas** z Zabrza, **Staszek Twardowski** z Janówki, **Halina Kuc** z Górek, **Basia Sachajko** z Wozuczyna, **Narcyz Koszak** z Bolesławca, **Ala Wójcik** z Lubania Śl., **Krysia Dunaj** z Lubstowa, **Mirek Charkiewicz** z Białegostoku, **Dorota Zaborniak** z Zabrza, **Irka Łęgowska** z Modlina, **Renata Stanozek** z Kujakowic, **Teresa Mondry** z Górek, **Andrzej Jaranowski** z Dajny, **Piotr Gabryd** z Kościana, **Zbyszek Supiński** z Wrocławia, **Jola Charęża** z Barwic, **Małgosia Możdzioch** z Popielowa, **Ewa Wietecha** z Jedlicz, **Maryla Ptak** z Więcborka, **Leon Hadamik** ze Strzybnicy, **Jola Daszek** z Gliwic, **Ala Opacka** ze Skoroszowa, **Basia Kożbiał** z Dobrzan, **Rysiek Koprianiuk** z Wojkowic, **Marzena Lis** z Łysych, **Róża Kudelska** z Pyrzyc.

Ogłaszając GIEŁDĘ POMYSŁÓW wspomnieliśmy również o tym, że niewykluczone są inne nagrody – niespodzianki. Otrzymują je: JOLA MARETA z Kolechowic, JADZIA KRÓL z Poronina, BOGUSŁAW ANDRUCHOWICZ z Torunia i WOJTEK IŁOWIECKI ze Szczecina. Nagrodą tą jest udział w odbywającym się w dniach 25–26 kwietnia br. w Zakopanem spotkaniu z zastępowymi węgierskimi. Spotkanie to nosi tytuł „Z PLECAKIEM PEŁNYM POMYSŁÓW DO PRZYJACIÓŁ". Jola, Jadzia, Bogusław i Wojtek będą reprezentowali na nim wszystkich uczestników naszej GIEŁDY POMYSŁÓW, a do swoich „plecaków" zapakują te pomysły, które na giełdę nadesłaliście. Będą to „plecaki mocno wypchane". O tym, na co je wymienili, jakie nowe pomysły z zakopiańskiego spotkania przywieźli i jak się ono odbyło, napiszemy Wam oczywiście w „Świecie Młodych".

I jeszcze jedna informacja. Postanowiliśmy, że GIEŁDY POMYSŁÓW będziemy powtarzać. Być może będą one podobne do tej, być może trochę inne (kilka propozycji, jak je można by zmienić nadesłał nam m. in. Krzysiek Puchalski z Łodzi – dziękujemy, propozycje rozważymy), ale na pewno przyniosą w efekcie równie ciekawe rezultaty. Kolejna giełda rozpocznie się już niedługo.

Wspomnienie o wojennej PRZYJAŹNI

W n-rze 75 „Świata Młodych" z ub. roku („Gdy mama była dziewczynką") Oleg Trietiakow pisał o dziewczynce radzieckiej – teraz swojej mamie – która, osierocona, zagubiona w zawierusze wojennych dni, znalazła przyjaciół – polskie dzieci.

Ja chcę opisać inną, podobną, historię. Było to wczesną wiosną 1940 r. w mieście Rokitnie na Wołyniu. Płakałam, kiedy przywieziono mnie do szpitala; miałam 8 lat. Smutno i straszno było mi bez mamy. Chore kolano nie pozwalało chodzić. Zajęła się mną – Rosjanka – imieniem Wala. Pokochałam ją bardzo. Choć cierpiała, bo miała przestrzeloną nogę (na froncie!) i też była unieruchomiona, opowiadała różne śmieszne historie, by mnie rozweselić. Po wizycie lekarskiej zawsze prosiła, by mnie przenieść na jej łóżko. Pani Wala ślicznie haftowała. Dała mi sporą szmatkę, narysowała na niej ołówkiem słonia, kotka, misia i kwiatki. Dostałam kolorowe nici i zaczęłam naukę haftu. Polubiłam igłę i nauczyłam się świetnie haftować. Pani Wala oddawała mi swoją tygodniową żołnierską rację słodyczy, którą dzieliłam się z trojgiem młodszego rodzeństwa.

Dziś jestem dorosłą kobietą, bibliotekarką – pracuję w Miejskiej Bibliotece. Pamiętam dobrze moją szpitalną, radziecką „mamę" – Walę. Mam dla niej ogromną wdzięczność i szacunek. Jeśli przeżyła wojnę, jest już niemłoda (wtedy miała 30 lat). Chciałabym, żeby dowiedziała się o mnie i o tym, co dla niej czuję.

Urszula Góra, ul. 17 lipca 17/1, 41-250 Czeladź

Sprzed szkołą stoją poszczególne klasy, czekając na apel. W momencie rozpoczęcia apelu na środek wychodzą trzy dziewczynki w wieku 5 lat ze swymi mamami. Za dyrektorem szkoły idzie natomiast w uroczystym skupieniu czterech chłopców, którzy mają tu odegrać główne role. Chłopcy otrzymują kwiaty i drobne upominki od dziewczynek i ich rodziców. Jesteśmy zdziwieni. Wszystko się jednak szybko wyjaśnia. Waldemar Ciesiołka, Karol Kamza, Paweł Kubiela i Przemysław Ignatowicz opowiadają o swoim czynie:

REPORTER ŚWIATA MŁODYCH

TRAGEDIA NA WARCIE

– We wtorek, 4.III. br., około godziny 18 graliśmy na boisku przyległym do Warty w piłkę i wtedy właśnie usłyszeliśmy głośne wołanie o pomoc, dochodzące z pobliskiej glinianki. Natychmiast tam pobiegliśmy. Tylko jeden z nas zdążył zrzucić ubranie, reszta zaś tak jak stała, wskoczyła do lodowatej wody. Dwóch kolegów pozostało na brzegu, aby nas ubezpieczać. W wodzie znajdowały się trzy małe dziewczynki i choć dech w nas zapierało, brnęliśmy w ich kierunku. Dwie z nich ubrane były w ortalionowe skafandry, dzięki którym utrzymywały się jeszcze na wodzie, natomiast trzecia znajdowała się pod lodem. Drogę do niej wskazywały bąbelki powietrza. Wyciągnęliśmy ją z kilkumetrowej głębi.

– Czy pomógł wam ktoś w ratowaniu dzieci?

– Niestety, choć w tym czasie spacerowały jeszcze grupki ludzi, choć na brzegu zebrało się ich sporo, nikt nie pospieszył nam z pomocą. Więc sami wyratowaliśmy dzieci, a następnie zadzwoniliśmy po pogotowie. Wszystko skończyło się dobrze, tylko kolega nabawił się kataru...

O bohaterskim czynie uczniów szkoła dowiedziała się od rodziców uratowanych dziewczynek, przybyłych, aby im podziękować. W środę, 12 marca br. całej czwórce 16-letnich uczniów z I klasy Zasadniczej Szkoły Samochodowej za ten czyn podziękowali przedstawiciele władz dzielnicy z naczelnikiem Mirosławem Rączką, Komendy Dzielnicowej MO, Wydziału Oświaty, ZHP i Spółdzielni Mieszkaniowej „Osiedle Młodych", Komitetu Rodzicielskiego i Samorządu Uczniowskiego. Otrzymali oni listy pochwalne i nagrody.

Tadeusz Zandecki
Mieczewo

Jeszcze raz wracamy dziś do poruszonego wcześniej zagadnienia planetoid. Mam nadzieję, że dzisiejsze wypowiedzi wzbogacą naszą aktualną wiedzę o tych ciałach.

W numerze 33 „Świata Młodych" zamieściliśmy w TOMIKU krótką informację o pyłowych księżycach odkrytych przez dr. K. Kordylewskiego. Artykuł ten ilustrowało zdjęcie odkrywcy oraz rysunek owych księżyców w porównaniu z Ziemią i Księżycem „twardym". W związku z tymi ilustracjami otrzymałem list Tomasza Czopika z Krakowa, w którym pisze on:

„Chciałem zwrócić uwagę na jedną rzecz, a mianowicie, na to, że napisałeś iż każdy z tych księżyców pyłowych ma średnicę długości 50 tys. km, a więc jest czterokrotnie większy od Ziemi. Tymczasem na rysunku proporcje te są odwrócone – księżyce pyłowe są mniejsze od Ziemi"...

Gratuluję Tomkowi spostrzegawczości i dziękuję za sprostowanie.

Uwaga! Andrzej Lanczewski z Tychowa – przepraszam za zawód, który Cię spotkał, nie z naszej zresztą winy. Mam nadzieję, że drugi znaczek TOMIKA otrzymasz bez przeszkód. Przy okazji wyjaśniam (już chyba po raz trzeci), że znaczki TOMIKA otrzymują Ci, którzy aktywnie współpracują z naszym kącikiem, przysyłając wypowiedzi, artykuły oraz ciekawe ilustracje.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

CZY ISTNIAŁ FAETON?

LOS PIERŚCIENIA ASTEROID (planetoid) można byłoby ustalić, gdyby znana była ich orzeszłość i pochodzenie. Prace badawcze w tym zakresie nie są jednak zaawansowane. Poczyniono zaledwie pierwsze kroki.

W ubiegłym stuleciu jeden z pierwszych odkrywców asteroid Olbers, wygłosił hipotezę o pochodzeniu pierścienia asteroid, którą przez dłuższy czas uważano za prawdopodobną. Zgodnie z teorią Olbersa, kiedyś wokół Słońca w średniej odległości 2,8 ja. (jednostka astronomiczna – 149.599.000 km). krążyła hipotetyczna planeta, która później, wskutek bliżej nieokreślonej katastrofy, rozpadła się na kawałki. Jest rzeczą zupełnie prawdopodobną, że rozpadła się ona podczas znacznego zbliżenia z Jowiszem. Powstałe wówczas odłamki z tej niewielkiej planety to właśnie obecne asteroidy. Hipotetyczną planetę jedni astronomowie nazywają Faetonem, zaś inni – Asteroidą. Mimo że hipoteza Olbersa okazała się błędna, odegrała jednak pozytywną rolę, ponieważ pobudziła uczonych do poszukiwania nowych planetaid.

Badania statystyczne asteroid kontynuował uczony azerbejdżański, H. F. Sułtanow, kierujący budową nowoczesnego górskiego obserwatorium astronomicznego, usytuowanego w pobliżu starego miasta, Szemacha. Sułtanow podjął wszechstronne badania. Początkowo rozwikłał problem charakteru „eksplozji" lub „szybkiego rozpadu" planety, co umożliwiło wyjaśnienie budowy pierścienia asteroid. Przeanalizował szereg wariantów rozkładu prędkości odłamków hipotetycznej planety w momencie jej eksplozji w porównaniu do aktualnych ich orbit. (Jak wiadomo kształt i wielkość orbity dowolnego ciała niebieskiego uzależniona jest od jego prędkości orbitalnej). Otóż okazało się, że pomiędzy orbitami planetoid a ich prędkościami (przy założeniu wybuchu) – nie ma zgodności. Wynikał więc stąd wniosek, że ta hipotetyczna planeta nie istniała.

Sułtanow nie poprzestał jednak na tym. Rozpoczął nowe badania opierając się na nowym założeniu, że kiedyś zamiast jednej planety w obecnej strefie asteroid poruszało się kilka dużych ciał pierwotnych. Dla uproszczenia problemu założył on, że ciał tych było trzy: Słońce – Jowisz i ciało „pierwotne". I wtedy udało się wyjaśnić, jakie elementy orbit w procesie ewolucji pozostają stabilne. Następnie wykonał obliczenia statystyczne. Wykazały one, że planetoidy dzielą się na 12 grup o zbliżonych wartościach stabilnych elementów orbit. Fakt ten świadczy o wspólnych cechach pochodzenia asteroid każdej grupy. I rzeczywiście, ponieważ wykryte stabilne elementy ich orbit prawie nie ulegają zmianie wskutek przyciągania Jowisza, to elementy te mają teraz w przybliżeniu taką samą wartość, jaką miały kiedyś w dawnych czasach, gdy powstawał pierścień asteroid. Prawdopodobnie każda grupa utworzyła się z jednego ciała pierwotnego.

Powstał jednak nierozwiązany problem „ciał pierwotnych": czy powstały one podczas procesu kondensacji obłoku protoplanetarnego, który kiedyś otaczał Słońce, czy też były „odłamkami" pozostałymi po eksplozji wielkiej planety? Mimo że Sułtanow nie udziela w tym zakresie odpowiedzi, jest rzeczą jasną, że próby zachowania odnowionego wariantu hipotezy Olbersa mają charakter sztuczny. Trudno jest bowiem znaleźć przyczynę powodującą początkowy rozpad wielkiej planety na kilka mniejszych kawałków, a następnie rozpad każdego z nich na jeszcze mniejsze części. W ten sposób upadła stara hipoteza Olbersa, hipoteza, która wywarła jednak – jak już wspomniałem – korzystny wpływ na rozwój astronomii asteroid.

Zbigniew Burda

Do wspólnego radziecko-amerykańskiego lotu, który ma nastąpić w połowie lipca br. przygotowuje się jednocześnie kilka załóg. Na zdjęciu tym oglądacie dwie pierwsze załogi „Sojuza" i „Apollo". Od lewej stoją: T. Stafford i A. Leonow, siedzą: D. Slayton, V. Brand i W. Kubasow.

. Zdjęcie: CAF – Unifax

„KAMIENIOŁOMY" UKŁADU SŁONECZNEGO

CHCIAŁBYM nawiązać do listu Grzegorza Mikuska i uzupełnić wiadomości o planetoidach. Planetoidy — bryły skalne o średnicy nie przekraczającej kilkuset kilometrów — należą do najmniej znanych ciał Układu Słonecznego. To „zaniedbanie" wiąże się ze swoistymi utrudnieniami badania małych ciał niebieskich. Duże planety są dobrze widoczne przez teleskop. W każdej chwili można je odnaleźć, ponieważ poruszają się po znanych orbitach. Z planetoidami sprawa komplikuje się. Odszukanie wśród gwiezdnej kipieli niewielkiej grudki, której miejsce pobytu odnotowano tylko raz, a która wędruje po nieustalonej orbicie, jest praktycznie niemożliwe.

Większość planetoid skupia się między Marsem a Jowiszem tworząc potężny pas. Radioaktywna metoda określania wieku wykazała, że planetoidy mają około miliarda lat, z tego 300.000.000 lat krążą w przestrzeni kosmicznej w swej obecnej postaci. To znaczy powstały w wyniku rozpadu większego ciała. Czy była to jednak podobna do Ziemi planeta Faeton? Wiadomo, że środek ciężkości układu powstałego poprzez rozkruszenie się większej bryły pozostaje nie zmieniony. Nie wszystkie planetoidy spełniają ten warunek. Albo więc niektóre prawa mechaniki są mylne albo wybuch Faetona jest mitem. To drugie wydaje mi się bardziej prawdopodobne. A jeszcze bardziej wiarygodna wydaje mi się inna hipoteza: potężne pole grawitacyjne Jowisza uniemożliwiło Faetonowi ukształtowanie się. Powstała w ten sposób pewna liczba mniejszych ciał, które zderzając się ze sobą kruszyły się na coraz drobniejsze części. W ten sposób miałyby powstać planetoidy, których pierścień spełnia rolę „kamieniołomów" Układu Słonecznego.

Roman Grochowina
ul. Wąska 3 m. 4
68-320 Jasień

stare, przedrewolucyjne całkiem wypłowiały i postrzępiły się, ojciec zdobył gdzieś rolki ulotek reklamowych pozostałych po carskim reżimie. Nimi właśnie okleiliśmy pokoje. Na ściany pokoju Wiktora i mojego poszło niemało takich niepociętych rolek, a na każdej z nich było szesnaście ogłoszeń. Widniała na nich bardzo piękna dziewczyna uśmiechająca się promiennie do patrzącego widza, to znaczy do mnie osobiście. Jedną ręką ślicznotka poprawiała rozsypane na ramionach jasne włosy, w drugiej trzymała flakon. Pod rysunkiem wydrukowano dużymi złotymi literami: „Kochaj mnie!"

Niżej drobnym drukiem umieszczono tekst reklamy:

Wszystkie damy i panienki
najchętniej używają wody kolońskiej
„Kochaj mnie!"
Delikatny i trwały zapach,
przypominający woń kwitnącej łąki,
wykwintne opakowanie i dostępna cena
czynią naszą wodę kwiatową niezastąpioną.
Żądajcie WSZĘDZIE wyłącznie wody kwiatowej
„Kochaj mnie!"
wytwórni dostawcy dworu J.C.W.
„Blanchard i Synowie".

Na tekst nie zwracałem specjalnej uwagi, często natomiast zachwycałem się tą dziewczyną i na sercu robiło mi się lżej i radośniej. Patrzyła na mnie ze wszystkich ścian pokoju. Każdy jej wizerunek był wielkości ogłoszeń, jakie obecnie nakleja się w tramwajach i obliczyłem, że w pokoju znajdowało się w sumie 848 jej podobizn. Patrząc na „Kochaj mnie!" zastanawiałem się, czy istnieją naprawdę takie piękne dziewczyny, a jeżeli tak, to za kogo wychodzą za mąż. Dla takiej z radością skoczyłbym w ogień lub wodę w zależności od jej osobistego wyboru.

W owych latach szkoły miały dziewięć klas. Wiktor ukończył osiem, a z dziewiątej zrezygnował, by jak najszybciej pogrążyć się w oceanie nauki. Rodzice w pełni zaaprobowali ten pomysł i wyprawili go do Leningradu, wyposażając w odzież i oddając mu wszystkie posiadane pieniądze. Wkrótce od Wiktora przyszedł list. Miał on taką formę i treść:

Podaniszcze
Do Obywatela Piotra Prochorowicza!
Do Obywatelki Marii Władimirowny!
Niniejszym oświadczam i poświadczam swój szacunek rodzicom i trwam w zamiarze zakomunikowania, iż pomyślnie zamierzam zostać starszym laborantem-energetykiem w Naukowym Instytucie Fizjologii i Filologii, gdzie zamierzam ostro wspinać się po drabinie naukowej i gdzie z moim udziałem będzie na wielką skalę przeciekać i przepychać się prace naukowe.
W drugiej części swego podaniszcza chcę oświadczyć, iż hybrydyzacja i synchronizacja w warunkach urbanizacji i polimeryzacji wymaga amoralizacji i melioracji, w związku z czym proszę pilnie odpowiedzieć przekazem na 50 (pięćdziesiąt) rubli do UPT 86, poste restante.
Wasz utalentowany syn
Wiktor

Moi rodzice z trudem zdobyli żądaną kwotę i wysłali Wiktorowi. W sumie list ich ucieszył. Matka chętnie odczytywała go sąsiadom, którzy chwalili go za uczoność, a na mnie patrzyli z wyrzutem i politowaniem.

Wkrótce nadeszło jeszcze jedno podaniszcze, a potem następne i następne. Z pieniędzmi zrobiło się w domu całkiem źle. Żeby uwolnić się ode mnie, jako jeszcze jednej gęby do wykarmienia i bym mógł choć nieco wesprzeć rodzinną kasę, rodzice znaleźli mi pracę.

Ale choć praca była dorywcza, czułem w głębi serca, że nieprędko teraz wrócę do rodzinnego domu. Opuszczając

swój pokój ostatnie spojrzenie rzuciłem na wizerunek czarującej nieznajomej, która jaśniała urodą na ścianach w ilości 848 egzemplarzy... „Kochaj mnie!" przeczytałem ze smutkiem pod jej podobizną i pomyślałem: „Taką jak ty pokocha każdy, ale kto pokocha mnie, człowieka z pięcioma nie?"... Z tymi słowami wypowiadanymi w duchu pokłoniłem się jej i ze łzami w oczach wyszedłem z pokoju.

C. d. n.

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: al. 3 Maja 7, 40-096 Katowice.

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki, Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wojciech Pielecki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska, Bożena Zwolińska.

TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami 28-56-18

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA — RSW „Prasa—Książka—Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00—564 Warszawa, ul. Koszykowa 6 A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52, 29-56-19. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i powiatowych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo - telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40 proc. droższa od krajowej, przyjmuje „Prasa-Książka-Ruch", ul. Wronia 23, 00-840 Warszawa, konto PKO I-6-100024. Sprzedaż numerów zdezaktualizowanych na pisemne zamówienie prowadzi Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Towarowa 28, 00—958 Warszawa.

Opracowanie graficzne: T. Baranowski

Redakcja techniczna: W. Stefańczak

DRUK: Państwowe Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego", Warszawa.

Zam. 40/2426. B-86

Kamko Kamka

TEKST I RYSUNKI PAVOL MORAVCIK — CSRS

Dziadek Kamka i Kamki jest zapalonym myśliwym i właśnie przygotowuje do polowań swego sokoła. Tłumaczył wnukom, ile to trzeba na to czasu i cierpliwości. Nasi bohaterowie nie mogli się jednak doczekać końca edukacji i postanowili zaraz wypróbować umiejętności dziadkowego sokoła.

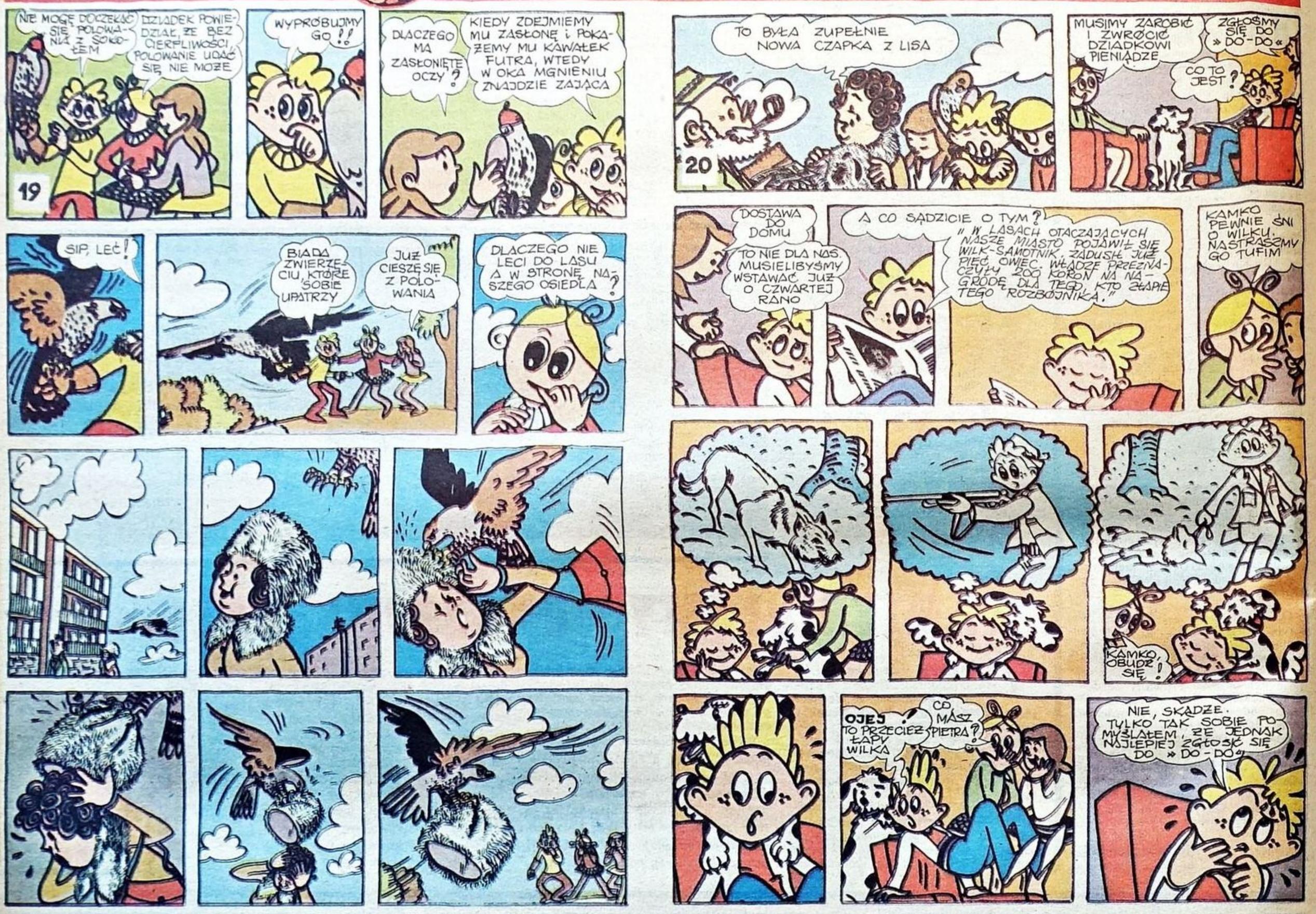

CHŁOPIEC Z PIĘCIOMA NIE

WADIM SZEFNER

2.

KIEDYŚ znów ojciec opowiadał, jak polował na rysie — również swoim specjalnym sposobem. Ryś, jak wiadomo, zawsze skacze na kark. Ojciec okręcał szyję ręcznikiem, z wierzchu zaś — siecią rybacką z drobnymi oczkami. Zamiast strzelby brał nagan. Szedł do lasu i stawał pod drzewem. Ryś, widząc nieuzbrojonego człowieka — łatwą zdobycz — rzucał się na niego. Jego pazury więzły w sieci. Wówczas ojciec wyjmował z kieszeni nagan i przykładał go do głowy rozwścieczonego drapieżnika. Strzał — i już po rysiu.

Na wilki ojciec również miał swoją metodę. Dowiedziawszy się, że gdzieś grasuje wilcze stado, wyruszył tam z bronią i przenośną drabiną. Po odszukaniu stada wywabiał je z lasu. Stado biegło za nim w nadziei, że go rozszarpie i pożre, a ojciec wybiegał na pole, błyskawicznie rozstawiał drabinę i wdrapywał się na najwyższy szczebel. Wilki tłoczyły się na dole i usiłowały się po drabinie dostać do niego, on tymczasem zabijał je kolejno, dopóki nie zginęło całe stado skoszone śmiercionośnym ołowiem.

Każdą z takich historii początkowo przyjmowałem z wiarą, po paru dniach jednak zaczynałem wątpić. Po dalszych kilku dniach dochodziłem do wniosku, że to nieprawda. Wówczas komunikowałem o tym ojcu, ten zaś wpadał w gniew. Matka z kolei gniewała się na mnie, że denerwuję ojca. Nieustannie stawiała mi za przykład Wiktora, który nigdy nie sprzeciwia się rodzicom.

W ogóle wszystkie nadzieje wiązano z Wiktorem, a o mnie pewnego razu ojciec powiedział, że jestem CZŁOWIEKIEM Z PIĘCIOMA „NIE". Potem wziął skrawek papieru i na piśmie udokumentował, że jestem:

niezgrabny,
niedomyślny,
nieznaczący,
niefartowny,
nieładny.

Najsmutniejsze było to, że wszystkie te pięć „nie" rzeczywiście pasowały do mnie i zdawałem sobie sprawę, że w moim życiu nie można się spodziewać większych sukcesów i osiągnięć. Nie zamierzałem zostać w przyszłości uczonym, jak Wiktor, nie snułem wielkich planów. Starałem się uczyć jak najlepiej, żeby chociaż tym nie martwić rodziców i w zasadzie to mi się udawało. Mimo wszystkich moich wad, pamięć miałem dobrą.

Ta dobra pamięć to chyba było jedyne, co miałem wspólnego z Wiktorem, z jego licznymi zaletami. On także łatwo wszystko zapamiętywał. I tak, by jak najszybciej przybliżyć karierę uczonego, wypożyczał z biblioteki miejskiej książki naukowe i zapamiętywał z nich mądre słowa. Niejednokrotnie używał tych słów potocznie, na domowy użytek, co ułatwiało mu życie i radowało rodziców.

Na przykład, kiedy matka mówiła: „Chłopcy, narąbcie no drzewa!", Wiktor odpowiadał tak: „Poligamiczny antropomorfizm i epidemiczny geocentryzm na poziomie dnia dzisiejszego rodzą we mnie termodynamiczny demonizm i elektrostatyczny dualizm, co powoduje niemożność rąbania drzewa".

Rodzice wymieniali pełne dumy spojrzenia, ciesząc się z naukowego przygotowania Wiktora i do rąbania drzewa posyłali tylko mnie. Ja natomiast, czynności gospodarskie wykonywałem starannie, żeby chociaż w ten sposób zrekompensować swoje pięć „nie".

A tymczasem smutna wieść, że jestem człowiekiem z pięcioma „nie" rozeszła się po Rodziszewie Pożegnalinie — mimo wszystkich swoich zalet Wiktor nie umiał trzymać języka za zębami. Sąsiedzi patrzyli na mnie ze współczuciem, a w szkole niektórzy koledzy po prostu zatruwali mi życie tymi pięcioma „nie", co zmuszało mnie niekiedy do bijatyk. Dziewczynki również postępowały złośliwie i robiły mi różne kawały. Tak na przykład Tosia, z którą siedziałem w jednej ławce, umówiła się ze mną na pierwszą randkę w parku miejskim pod czwartą lipą na prawo od wejścia. Kiedy jednak przyszedłem o ściśle wyznaczonej porze, Tosi nie zastałem. Za to ukryty na drzewie jej młodszy brat, z którym zawarła umowę, oblał mi z góry głowę mieszaniną rozcieńczonego kleju i atramentu, używając do tego celu gumowej lekarskiej gruszki. Kiedy zaś chwyciłem się za głowę, zza altanki wybiegli prawie wszyscy chłopcy i dziewczynki z naszej klasy i śmieli się ze mnie kolektywnie.

W domu także bywało mi niekiedy niezbyt słodko, szczególnie w dniach, kiedy wyrażałem powątpiewanie wobec opowieści ojca. Ale w domu, jak to się mówi, nawet ściany pomagają. A ja miałem w pełnym tego słowa znaczeniu pomagające ściany.

Otóż w owym czasie nie było w sprzedaży tapet, i kiedy

C.d. na str. 7